

SPOTKANIA SŁIRZAN

Nr 3 (156)

LUBIN

2022 r.



**Icek Jakiw
z Przemyślan.**

**Pocztówka
wydana przez
miejsowego
drukarza,
A. Parussa(?).**

**W tekście
napisanym
przez nadawcę
widnieje data
16.08.1903 r.**

Szanowni Krajanie,



d dwóch miesięcy trwa wojna na Ukrainie wywołana agresją Rosji. Są zabici i ranni, niszczona jest infrastruktura miast i wiosek. Nieudany atak na Kijów, co w annałach historii wojskowości zostanie na pewno opisany, nie wyklucza ponownej próby zajęcia stolicy. Przypuszczać należy o kolejnych próbach zajęcia przez rosyjskie wojska innych terenów, ważnych dla Ukrainy, by o osiągnięciach wojennych wojsk rosyjskich mógł mówić Putin podczas majowej parady w Moskwie. Na pewno kolejne akty agresji będą się wiązały z większą determinacją napastników, a tym samym z jeszcze większymi stratami i zniszczeniami. Dotychczas wiele faktów świadczy o przypadkach ludobójstwa dokonywanego przez wojska rosyjskie.

Przy okazji tej wojny przypomniało mi się wspomnienie ojca, opowiedziane po latach, po spotkaniu z sowieckim oficerem. Na pytanie ojca, czy Lwów będzie polski, odpowiedział krótko: Niet. My zawojowali. I tak przez lata zawojowali Kawałek Polski, Finlandii, Japonii, Gruzji, Armenii, Mołdawii i przyszła kolej na Ukrainę.

W roku 1991 za uzyskaniem niepodległości Ukrainy głosowali ludzie z zachodnich i wschodnich obwodów tego państwa. Ale jego rządy, wiedząc o sympatii mieszkańców obwodów wschodnich do Rosji, mogli później zaproponować jakies modus vivendi, coś na modłę Kanady, gdzie ludzi dzielił język angielski i francuski, by utrzymać jedność państwa. Tego nie zrobiono. Niesnaski przerodziły się w otwarty konflikt, a samozwańcze grupy prawicowych bojowników, także z domieszką nacjonalistów, zaogniły konflikt. Na to tylko czekała Rosja. W imię dobrych stosunków z sąsiadem nie chciała pomóc na drodze dyplomatycznej.

Negacja państwowości Ukrainy przez Putina, Miedwiejewa i innych nie wóży nic dobrego, także dla Polski.

Lubin, kwiecień 2022 r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 156

Str.

3. Kartka z pamiętnika. L. Cyganik. Słodkie i kwaśne odcienie życia (IV).
19. J. Tarnawski. Portret Ojca.
20. J. Rozwadowski. Wycieczka do Plenikowa.
27. Świrz w józefińskim katastrze (I).
33. K. Salkitzoglou. Pokolenia rodziny Jedynaków z Chlebowic Świrskich (II).
37. Przemyślany latem 1941 r. w opracowaniu W. Lower.
43. Cud uzdrowienia.
44. Pokłosie naszych publikacji (redakcja).

Kartka z pamiętnika

Red. Poniższy tekst jest fragmentem książki Leopolda Cyganika o tym samym tytule, która ukazała się w 2020 r.

Leopold Cyganik

Słodkie i kwaśne odcienie życia (cz. IV)

11. Więzienie w Tarnowie

Kolejne miejsce pobytu, choć wciąż jeszcze na Montelupich było mi znane z opowieści. Widziałem bowiem, że jest to taka izba więzienna, w której umieszcza się ludzi zaraz przed transportem. Przebywałem w niej przez niedługi czas z niemal samymi młodymi chłopakami. Było nas tak dużo, że w ramach „rozrywki” można było co najwyżej przykucnąć, by choć na chwilę zmienić pozycję. Nie było mowy o tym, by się położyć czy nawet uczciwie usiąść. Około dziesiątej (przy więzieniu był kościół z zegarem, który wybijał godzinę, dzięki czemu mieliśmy jakiegokolwiek poczucie czasu) ktoś zanucił partyzancką piosenkę. Chwilę później wszyscy śpiewaliśmy. Oczywiście do celi wpadli klawisze i zabrali kilku z nas do karceru, na dole. Tam czekaliśmy na transport, aż do następnego dnia. Kazano nam się przebrać w ubrania z oznaczeniem na plecach i drewniaki (znane mi już z czasów wojennej Wieliczki). O świcie wyprowadzono nas na dziedziniec i ustawiono w kolumnę. Kiedy otwarto bramy, przejęło nas KBW, czyli wojsko do spraw wewnętrznych. Nas, więźniów, było może stu. Na każdym rogu naszej kolumny szli wojskowi z karabinami maszynowymi i psami. Zapędzono nas na dworzec towarowy i załadowano nami „więźniarkę”. Każde pomieszczenie przeznaczone było dla dwóch skazanych. Ale ludzi było na tyle dużo, że musieliśmy się w takiej klatce zmieścić w czterech. Musieliśmy się dobrze postarać, by przetrwać podróż. Po pewnym czasie oczekiwania wyruszyliśmy na wschód.

W końcu wylądowaliśmy w Tarnowie, choć wcześniej nie mieliśmy pojęcia o celu podróży. Z pociągu przepędzono nas główną ulicą. Ubranych w więzienną uniformę, stukających drewniakami w uliczny bruk. Kiedy sto par drewniaków stuka w bruk, w oknach kamienic trzęsą

się szyby. Oczywiście według krążącej famy byliśmy mordercami, działającymi w bandach i bojówkach. Część z mieszkańców z pewnością się nas bała. Ale pewnie byli i tacy, którzy nie wierzyli propagandzie. Po przejściu przez główny deptak, dotarliśmy do zakładu karnego.



Zakład karny w Tarnowie. Fot. Damian Daraż (www.investmap.pl)

Po bycie na Montelupich warunki w Tarnowie przedstawiały się całkiem nieźle. Zaczynając od cel a kończąc na jedzeniu. W Krakowie dostawałem zupełną z suszonej kapusty, której rzadka konsystencja nie służyła mojej wątłej posturze. Tu na misce pojawiały się kartofle i śladowe ilości mięsa w rzadkim sosie, co stanowiło miłą, oczywiście jak na tragiczne okoliczności, odmianę. Pomieszczenia, w których mieszkaliśmy, były skanalizowane. Co prawda przewidziane dla dwóch osób z „dostawką” (jedno łóżko piętrowe i jedno rozkładane). A nas osadzono po sześciu, przez co musieliśmy spać po dwóch na jednej pryczy. Ale był to i tak komfort w porównaniu do twardej, zimnej podłogi na Montelupich. Wucet służył nam nie tylko do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Był też źródłem wody, którą czasem z niego podbieraliśmy. Mimo że cela miała może dwa metry długości, spacerowaliśmy po niej w tę i z powrotem, co było niemożliwe w Krakowie. Do tego mieliśmy ogrzewanie. Ale szczerze mówiąc, słabe... W pomieszczeniu było bardzo zimno. Do tego po celi łączyły pluskwy, których towarzystwo było nie do zniesienia. Nocą, gdy spaliśmy włożyły na sufit i spadały na „ofiara”, na przykład na twarz. Ich ugryzienia były bo-

lesne.

Na początku umieszczono mnie na oddziale pierwszym, przejściowym, od strony miasta. Potem zmieniono mi „lokum” na pomieszczenie od wzgórza Sanguszki. Na koniec zostałem przeniesiony do celi od podwórza. Przeprowadzki wynikały z potrzeby rozerwania tworzących się między skazanymi więzi.

Kiedy w maju zajmowałem celę od strony wzgórza, z górnej pryczy, przez zakratowane okienko, obserwowałem ludzi przechadzających się po parku. Musiałem być ostrożny i unikać wzroku strażników na wieżyczkach, bo wychylanie się przez okno było karane. Widziałem piękne dziewczyny, wiosnę i zieleń. Te momenty w więzieniu były jednymi z najgorszych dla młodego mężczyzny, którym byłem. Czas jednak mijał. A ja wciąż odbywałem wyrok. Wkrótce na rozkładanej pryczy zwolniło się miejsce, na które przedzielono nam mojego znajomego z Montelupich - księdza Muskata. Bardzo dużo rozmawialiśmy. Był prawdziwym kolegą więziennym. Do tego jako ksiądz był traktowany gorzej przez klawiszy. Objawiało się to na przykład tak, że kiedy przydzielano mu spodnie, dostawał za wąskie i nie mógł ich zapiąć. Kiedy otrzymywał koszulę, nie miała guzików i była podarta. W takich dotkliwych niuansach objawiała się niechęć do osadzonych księży. Z Andrzejem naprawdę się zżyłem, co w więzieniu było rzadkim zjawiskiem. Dostał dziesięć lat za szpiegostwo. Był najprawdopodobniej sekretarzem kardynała krakowskiego, Sapiechy. Albo przynajmniej kimś wysoko postawionym, będącym tuż przy kurii. Z racji swojej funkcji dużo podróżował, co stanowiło podstawę do jego oskarżenia. Mimo to kardynała nie opłacało się „ruszać”. Dlatego skupiano się na wszystkich wokół. To właśnie dotknęło księdza Andrzeja. Opowiadał, że w którymś momencie zorientował się, że zostanie aresztowany i uciekł na tereny odzyskane. Ale szybko go wytropiono i zatrzymano. Ksiądz Muszkat do dziś jest dla mnie osobą wyjątkową. Wczesnie rano odprawiał szczególną mszę ku pokrzepieniu serc. Taki zresztą jest obowiązek księdza - musi odprawiać nabożeństwo bez względu na warunki. Całą niemal na leżąco, z pamięci, jak najciszej, by klawisze się nie zorientowali. Jeśli się obudziłem, służyłem mu do tej mszy. Jeśli nie, nigdy mnie nie zbudził. Nasza przyjaźń przetrwała więzienie. Spotkaliśmy się kilkakrotnie po opuszczeniu zakładu karnego. Najpierw w Wadowicach, a potem w Makowie Podhalańskim, gdzie mieszkał w domu dla emerytowanych księży.

Przyszędł listopad i zaczęło się robić okrutnie zimno. Z bardzo

wysłużonym kocem, zarzuconym na wyziębione ciało, trudno było zasnąć. Tym bardziej że ubranie z butami należało wystawić na noc na korytarz. Wtedy po raz kolejny postanowiłem użyć wrodzonego sprytu. Zacząłem kaszleć. Trochę naprawdę, trochę na wyrost. W końcu dostałem też i gorączki. Wtedy zakwalifikowano mnie, a potem doprowadzono na izbę chorych. Dostałem własne łóżko z białą pościelą i nieużytym, pachnącym kocem. Byłem wniebowzięty.

Oddział więzienny obsługiwał lekarz z zewnątrz. Nazywał się Bochenek. Z kolei z ramienia zakładu karnego chorymi opiekował się więzień o nazwisku Malec, lekarz, który najprawdopodobniej siedział za współpracę z okupantem (choć mogła to być propaganda). Jeśli chodzi o Bochenka, odniosłem wrażenie, że to narkoman. Suchy, powyginany i rachityczny, a do tego wyjątkowo niekontaktowy i wredny. Malec odwrotnie: mimo że sam był więźniem, opiekował się nami, rozmawiał i traktował po ludzku. Leżałem sobie w izbie chorych. W końcu było mi ciepło. Nie przeszkadzali mi nawet współwięźniowie, którzy symulowali choroby psychiczne, w obrzydliwy sposób manifestując swoje domniemane schorzenia. Minął grudzień, styczeń i zaczęła się kolejna wiosna. A ja nadal leżałem. W izbie chorych dowiedziałem się, że wujkowie Kazik i Wierzbicki napisali pismo do samego Bieruta o ułaskawienie więźnia Leopolda Cyganika. Wtedy przyszedł do mnie lekarz więzienny Malec. Zadbał o to, by nikogo poza nami nie było w pomieszczeniu.

- Przyszło zapytanie z sądu o twój stan zdrowia - powiedział. Zbladłem. Długo przebywałem na oddziale. Źle ze mną raczej nie było. Milczałem więc. A Malec kontynuował. - Bochenek podpisał to, co wcześniej napisałem ja.

- Czyli? - zapytałem niepewnie.

- Czyli, że gdybym miał cię opisać ociupinkę „lepiej”, musiałbym stwierdzić, że więźnia „wywieziono nogami do przodu”.

- Dziękuję - nie kryłem wdzięczności.

Mimo to nadszedł dzień, w którym kazano mi się spakować. Wtedy już wiedziałem, że czeka mnie kolejny transport.

W więzieniu spotkałem się z wieloma podstawionymi przez władzę kapusiami. Szczególnie gdy sprawa dotyczyła przestępstwa na tle politycznym, kapuś w celi był częstym zjawiskiem. Nie jestem pewien, czy w transporcie do kolejnego więzienia, w którym przesiedziałem kolejną część swojego wyroku, był ktoś, kto miał układ z władzą ludową. W każ-

dym razie gdyby znalazł się między nami, zapewne więzienna fama wyprzedziłaby go i w nowym zakładzie karnym byłby „spalony”. O tym, że ktoś donosi, wiedzieliśmy niekiedy dużo wcześniej niż zdążyliśmy go zobaczyć na oczy. Czasem kapuś dostawał w celi takie manto, że pukał w drzwi, by się z niej jak najszybciej wydostać. Donosiciela było dość łatwo rozpoznać, szczególnie że kiedy się siedziało w więzieniu, cały czas pozostawało się czujnym. Zdarzało się, że oni sami nieumyślnie dawali nam powody by sądzić, że są kapusiami. Na przykład mówili o rzeczach, o których nikt nie miał prawa wiedzieć. Bywali natrętni i podrzucali w rozmowie tematy, na które nikt nie chciał dyskutować, próbując sprowokować do zwierzeń. Mimo że po pewnym czasie każdy z nas w końcu nabierał doświadczenia w rozpoznawaniu kapusia, nie oznaczało to, że nie zostanie mu „dorobiony” wyrok. Bo przecież byli i tacy, których rozpoznać się nie dało. A władza też była czujna. I jeśli ktoś szczególnie się jej naprzykrzył, a do tego w więzieniu przez nieuwagę zwierzył się komuś nieodpowiedniemu, mógł otrzymać nowy wyrok. Dłuższą odsiadkę można było dostać także za dowcip polityczny czy nieodpowiednio wyrażone zdanie. Tym bardziej że owe wyroki potem sumowano, ale zdarzało się, że kary odbywano po kolei.

Każdy więzień miał swoją kategorię. „Pospolitka”, recydywa, polityczny, oraz spokojny, niebezpieczny i tym podobne. Nie wiem, jaką ja miałem kategorię, ale zawsze starałem się dostać do jakiegokolwiek pracy. Jednak nigdy mnie nie chciano. Ubiegałem się o funkcję piekarza (choć oczywiście więźniom za żadną pracę nie płacono!), mając już pewne doświadczenie z Wieliczki. Jednak mnie nie przyjęli, bo potrzebowali chłopca, a nie chucherka, jakim byłem. Ze swoim wyglądem mogłem co najwyżej starać się o funkcję obierającego ziemniaki... Wiadomo, chodziło o tę straszliwą beczczynność, wegetację, która dla mnie, młodego człowieka, była najgorsza. W każdym razie o swojej kategorii nie miałem pojęcia.

12. „Luksusy” w następnych więzieniach

Wizyty w więzieniu, w myśl regulaminu, mogły się odbywać raz w miesiącu. Podczas jednej z nich, dowiedziałem się, że Tosia wyszła za mąż. Informacje nie dość, że otrzymywane rzadko, przekazywane były w koszmarnych okolicznościach. Przykładem może być na Montelupich:

pokojem wizyt było paskudne, ciasne pomieszczenie, w dwóch miejscach przedzielone siatką. Po stronie pierwszej siatki stawał więzień. Przy drugiej siatce - odwiedzający. A pomiędzy kratami, po wydzielonym przez nie „pasie niczym” przechadzał się klawisz, słuchający wszystkiego co się mówiło. Nie dość, że aby się porozumieć, trzeba było do siebie krzyczeć. Po każdej stronie, zarówno dla więźniów, jak i odwiedzających, stała nie jedna, a na przykład siedem, czy osiem osób, które jeszcze dodatkowo, wzajemnie się przekrzykiwały. I ta rozprasająca, stresująca postać strażnika pomiędzy nimi... Po przenosinach odwiedziny stały się jeszcze trudniejsze, gdyż kolejnym zakładem karnym, w którym przyszło mi odsiaływać wyrok, okazały się być Wronki pod Poznaniem.

Więzienie we Wronkach było bardzo stare. Mówiono, że wiele z obiektów sądowo-penitencjarnych z tamtych czasów, zostało wybudowanych za francuskie pieniądze, otrzymane w ramach kontrybucji po przegranej w wojnie z Prusami. Wyróżniały się budulcem - czerwoną cegłą, przez co były rozpoznawalne. Tak jak poprzednio, kazano nam biegać w drewniakach, a potem przewożono nas w zbyt dużej ilości w niewielkich więźniarkach. Pamiętam, że dostałem chleb na drogę. Nikt z nas nie wiedział, gdzie jedziemy. Po zapowiedziach na kolejnych stacjach kolejowych podczas długiej podróży, orientowaliśmy się, w którą jedziemy stroną. W Poznaniu już wiedzieliśmy, że zmierzamy do Wronek.

Wysiedliśmy na stacji kolejowej. W drewniakach przebiegliśmy truchtem pod więzienną bramę. Na półokrągłym portalu widniał napis „Więzienie Karne we Wronkach”. Kazano nam usiąść. Było akurat świeżo po deszczu. Ci którzy mieli mniej szczęścia siedzieli w kałuży. Kazano nam wczytać się w napis i zapamiętać nazwę miejsca, w którym się znaleźliśmy. Potem kazali nam przejść na pierwszy dziedziniec i znów posadzili na mokrej ziemi. W tym miejscu od KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego) przejęła nas straż więzienna. Potem zabierano nas w małych grupach, po dziesięciu, do długiego korytarza. Tam kazano nam się rozebrać do naga, po czym strażnicy bardzo skrupulatnie rewidowali każdego więźnia. Mimo że nawet ubrani - w drewniaki, onuce, kalesony, drelichowe spodnie, koszulę i czapkę - i tak nie mielibyśmy gdzie schować niczego przydatnego w ucieczce czy do popełnienia kolejnego przestępstwa. Przeszukano nas dokładnie i boleśnie, a następnie oddano więzienne mundurki i nago kazano biec do cel. Musieliśmy pędzić jak najszybciej, bo strażnicy poganiali nas dźgając kluczami pod żebra. Pamię-

tam, że biegnąc wypadłem do pawilonu w kształcie krzyża. Wbiegłem po schodach do środkowej jego części, gdzie znajdowała się budka obserwacyjna. Pod nią mieścił się biały ryngraf utworzony z drobnych kamyczków. Jeśli któryś z nas go nie zauważył i na niego wpadł, dostawał dodatkową porcję dżgnięć pod zebro. Obiegnę ryngraf i zapędzony zostałem na oddział D1. Kiedy pod celą znalazło się sześciu mężczyzn, wpuszczono nas do wewnątrz. I w tych paskudnych okolicznościach rozpoczął się mój, niedługi zresztą, pobyt we Wronkach. Później jeszcze podobne przebieżki kazano nam uprawiać na więziennym spacerniaku.

W tym czasie we Wronkach przebywali tylko więźniowie polityczni (około trzech tysięcy), wrogowie państwa polskiego. Sam pamiętam, że byłem na bloku z łańcuckim księciem Potockim, którego aresztowano za wywożenie dóbr kulturalnych za granicę. Do Wronek było daleko, więc miałem tylko jedne odwiedziny przez cały okres mojego pobytu w tym zakładzie karnym. Jednak widzenia nie były tak traumatyczne, jak na Montelupich. Tutaj można było w jako takim spokoju porozmawiać przez małe okienka, bez przekrzykiwania się przez tłum i spacerującego klawisza. Oczywiście w końcu i tu postanowiłem odwiedzić izbę przyjęć.

Tym razem nie przyjęto mnie na leczenie. Potem często czułem się źle; miałem powody, bo bolała mnie złamana zaraz po aresztowaniu no-



Więzienie we Wronkach. (źródło: wikipedia.pl, by Robson 1976)

ga (a przecież nie wiedziałem, że jest złamana). Poza tym pod gabinetem lekarskim można było spotkać znajomych. Wizyty w izbie chorych były urozmaicheniem szczególnie, że nadal nie przydzielono mi żadnej funkcji.

Na jednej z wizyt poznałem Jasia Pierzchałę, z którym kończyłem studia medyczne, rozpoczęte po odsiadce. Mój kolega zaczął je tuż po wojnie, ale dostał dziesięcioletni wyrok pozbawienia wolności za udział w organizacji WiN (Wolność i Niepodległość). Spotkaliśmy się kilka lat później we Wrocławiu. Zapoznałem się także z Jurkiem Woźniakiem, który po odsiadce skończył studia i pracował we Wrocławiu, a po zakończeniu komunizmu w Polsce pełnił różne funkcje w stowarzyszeniu AK, a potem nawet był jego ogólnopolskim prezesem.

Po jakimś czasie przyszedł maj i czas na kolejne przenosiny. Po dobie spędzonej w pociągu wylądowałem w Jaworznie. Niczego nie wiedzieliśmy o tym więzieniu. Może tylko tyle, że jest ono obozem pracy dla handlarzy, kułaków, folksdojczów i całej pozostałej „pospolitki”, jak i była filią Auschwitz. Na miejscu jednak okazało się, że władza ludowa postanowiła z zakładu w Jaworznie stworzyć obóz resocjalizacyjny dla młodocianych politycznych, do dwudziestego czwartego roku życia. Oczywiście po to, by stworzyć z nich porządných „patriotów”. To co nas najbardziej zdziwiło po podejściu do bramy (i pamiętnym powitaniu we Wronkach), to fakt, że mogliśmy ze sobą rozmawiać. Co prawda, z początku bardzo nieśmiało, bo do takiej swobody należało podejść ostrożnie. Ale później strażnicy wyczytali nasze nazwiska, przekazali nam więzienne „wiano”, które mieliśmy zanieść do magazynu. Ja miałem tylko buty, resztę kazałem zabrać rodzinie.

Weszliśmy na korytarz. Skierowano nas do wieloosobowych cel, które stały otworem. Każdy z nas zajął łóżko (całe łóżko dla jednej osoby, to było niebywale!) i czekał, nadal podejrzliwie podchodząc do tej nietypowej swobody i „luksusów”. Klawisz odszedł, zostawiając drzwi otwarte. Jeden z odważniejszych podszedł do wyjścia na korytarz. Wychylił głowę i zobaczył, że pozostałe cele są także otwarte. Baliśmy się ruszyć z miejsc. Po południu dostaliśmy obiad: ziemniaki z sosem i mięsem, a nawet chleb. Najedliśmy się do syta. Po obiedzie przyszedł klawisz, który okazał się być oddziałowym w izbie chorych, i powiedział, że poszukuje chętnego do pracy w baraku sanitarnym w ambulatorium. Zapytał wprost.

- Kto jest sanitariuszem?

- Ja! - odpowiedziałem bez namysłu.

- Spakować się! - wydał polecenie.

Zaprowadził mnie do baraku, w którym znajdował się kiedyś obszerny oddział medyczny: szpital, ambulatorium, stomatolog (po którym został tylko gabinet), a nawet apteka. Oddziałowy pokazał mi moje miejsce do spania. Kazał wybrać sobie świeżą bieliznę i czyściutki uniform. Zapoznał mnie z moim nowym miejscem pracy. Miałem asystować lekarzowi, sprzątać i wykonywać mniejsze prace w ambulatorium. Naszymi mentorami w kształtowaniu odpowiednich uczuć patriotycznych stali się teraz złodzieje i drobni przestępcy. Czuję się nieswojo z taką ilością swobody, jaka na mnie spadła. Nawet niektóre okna były niezabezpieczone, co po Wronkach było wprost nie do pomyślenia.

Następnego dnia rozpocząłem pracę jako sanitariusz. Przede wszystkim przygotowywałem więźniów do zabiegów czy badań. W przerwach wychodziłem na dwór i siadywałem na słońcu. Po ciężkich przeżyciach w poprzednich miejscach odsiadki, każdy z nas po cichu pomyślał, że w Jaworznie można by było jeszcze posiedzieć... Ale oczywiście żaden nie powiedział tego na głos. Strażnicy organizowali młodych więźniów z transportów w grupy do pracy w betoniarni, kopalni, wysyłali na przyuczanie do różnych zawodów. Od starszych więźniów stopniowo przejmowali oni obowiązki w kuchni, pralni, kotłowni. Organizowano ich w grupy porządkowe. Nasz barak na noc zamykano od zewnątrz. Pracowałem z sanitariuszem z Warszawy, który był bardzo szanowany wśród kławiszy. Czasem jako lekarza wysyłano go na zewnątrz do rodzin strażników. Na miejscu pełnił funkcję starszego sanitariusza.

W więzieniu pracowało jeszcze dwóch lekarzy wolnościowych. Starszy z nich nazywał się Halfen. Był strasznym sadystą. Pamiętam, że młodzież pracująca w kopalni, często cierpiała na czyraczność. Starszy lekarz brał pęsetę i bez żadnego znieczulenia wrywał czyrak, a ja podawałem na jego polecenie szpatułkę z jodyną, którą wkładał w ranę, przekręcał i odsyłał do pracy. Jeśli ktoś zachorował poważnie, jechał do szpitala na Montelupich w Krakowie, jedyne szpitala więziennego w tym okręgu. W Jaworznie było się zdany na łaskę Halfena (lub jej brak). Z kolei drugi z lekarzy, o wiele młodszy, o nazwisku Miklaszewski, często szedł na rękę skazanym w różnych sytuacjach.

Życie w Jaworznie było sielanką, oczywiście w porównaniu do poprzednich więzień. Moja praca w baraku sanitarnym pomogła mi nawiązać nowe znajomości. Po kontaktach przyszedł czas na handel i drobne

przysługi. Swoboda, jaką nam dawano, miała nas utwierdzić w przekonaniu, że Polska Ludowa nie jest jednak taka zła, jak sądziliśmy gdy pakowaliśmy się w kłopoty. Aczkolwiek praca w mokrej, niskiej kopalni była katorgą, więc mogę uznać, że tylko niektórzy zaznali „dobrodziejstw” odsiadki w Jaworznie. Naturalnie fama niosła, że pracujący w kopalni są bandytami i dlatego mają gorzej (dla dobra pozostałych współwięźniów). Ale kłamstwa po czasie wychodziły na jaw, gdy chłopcy z kopalni wyznawali górnikom pracującym z nimi, że siedzą za przestępstwa na tle politycznym.

Przyszedł dwudziesty siódmy lipca 1951 roku. Wstałem, i jak co dzień, zabrałem się za swoje obowiązki. Mieliśmy dobrego oddziałowego, więc każdy starał się wywiązywać ze swoich zadań, aby nam go przypadkiem nie zamieniono na kogoś innego. Tym bardziej, że nie stał nad nami, jak to miało miejsce w innych więzieniach, ale wychodził, by z kolei wykonywać swoje powinności na zewnątrz. Nasz barak był jakby więzieniem w więzieniu, więc można powiedzieć, że w pewnym sensie „pilnował się sam”, bo był dodatkowo ogrodzony drutem kolczastym. Tego dnia oddziałowy przyszedł po dziesiątej. Nie zauważył mnie.

- Jest Cyganik? Gdzie on jest? - zapytał wchodząc na oddział. Podszedłem do niego bez słowa.

- Spakuj się. Zaraz po ciebie przyjdę - powiedział. Serce mi zamarło. W tym momencie byłem już przekonany, że zostanie mi dorobiony wyrok i posiedzę sobie w więzieniu nieco dłużej niż myślałem, skoro pytają tylko o mnie. Po tylu przenosinach wiedziałem, w jakim trybie się one odbywają. A z mojej kary minęła dopiero niecała połowa!

Bałem się, że przeniosą mnie do innego zakładu karnego, choć w tym wcale nie było mi aż tak źle. Wyszedłem przed barak (bo co niby miałem takiego do pakowania?) i poprosiłem starszych więźniów, by się dowiedzieli, o co chodzi. Po jakimś czasie jeden z nich doniósł mi, że wychodzę na wolność.

Dopóki nie znalazłem się poza terenem więzienia jako wolny człowiek, po prostu nie mogłem w to uwierzyć. Radość mieszała się z niepewnością. W magazynie nie miałem nawet spodni, tylko buty. Nie spodziewałem się przecież wyjść „tak szybko”. Aby mógł opuścić zakład współwięźniowie zorganizowali dla mnie spodnie, marynarkę, jakąś koszulę, a nawet onuce. Oddziałowy zaprowadził mnie do administracji. Dostałem tam dokument, w którym napisano, że zostałem zwolniony z odbywania

Wieżenie w Jaworznie Dnia 27 7 51 r.

Nr akt sprawy Sr.1053/49

Nr księgi więźniów II.2059/51 Świadcstwo zwolnienia

Więzień Cygank Leopold ur.9.7.32 więźnia karnego

Krakowa powiatu Krakowskiego

skazany wyrokiem Woj.Sad.iej. Krakowie

z dnia 30 grudnia 19 49 r. na 5-c lat

wiezienia z art.14§1 z 13.6.46.

uzaskawieniem

zwolniony został dziś po odbyciu kary. Podczas pobytu w wię-

zieniu sprawował się niebezannie Obowiązany

jest zameldować się w biurze Milicji w Wrocławiu

nie później, jak dnia 30 11 51 194 51 r.

NACZELNIK WIEZIENIA

D. W. Wzór Nr. 65. Świadcstwo o zwolnieniu więźnia karnego
7 Nr 087/131-1V/47 Drukarnia Nr. 3

Dokument potwierdzający zwolnienie mnie z więzienia w Jaworznie.

dalszej części kary. Przeczytano mi także oświadczenie, na którego końcu zaznaczono, że w ciągu tygodnia muszę zgłosić się na posterunek milicji w miejscu zamieszkania, a w przeciągu dwóch tygodni podjąć pracę fizyczną. Z depozytu dostałem niewielką sumę, którą mogłem przeznaczyć na bilet kolejowy. Przy furtce dostałem kopniaka od strażnika (taki był zwyczaj) na znak, żebym tu więcej nie wracał. Poszedłem wzdłuż długiego, więziennego muru i stanąłem na jego końcu... Nie miałem pojęcia gdzie powinienem pojechać. W Krakowie nie było już mieszkania ani nikogo bliskiego. Mogłem próbować rozpocząć życie na własną rękę.

Pobyt w więzieniu nie sprawił, że czas się zatrzymał, podczas kiedy ja odbywałem karę za „działania polityczne sprzeczne z interesem władzy”, moja rodzina starała się wieść życie względnie normalne - jak na tamte czasy. Niezwykle ważne dla mnie było moje rodzeństwo. Ich rola na przestrzeni całego mojego życia była tak ogromna, że niemożliwe jest opisanie tego w jednym rozdziale - reszta książki musiałaby być tylko o tym. Być może w przyszłości pojawi się osobne dzieło dotyczące wyłącznie mojej rodziny. Słowo wyjaśnienia należy się tu jednak kwestii mojej siostry, która - jak wspominałem wcześniej odegrała znaczącą rolę w moim epizodzie „wygnańca”.

13. Pierwsza praca (goniec)

Autobusem dojechałem do Katowic. Tam udałem się na dworzec główny. Zakład karny opuściłem około godziny czternastej. Przed dziesiątą wieczorem byłem już we Wrocławiu. Zdecydowałem się udać pod znany mi już adres przy ul. Sienkiewicza 127.

Wysiadłem z tramwaju i wszedłem do bramy. Na pierwszym piętrze zapukałem do drzwi. Było już późno.

- Kto tam? - usłyszałem głos po drugiej stronie.

- Poldek - powiedziałem. Najpierw zapadła cisza, a potem dotarł do mnie odgłos popłochu. Drzwi się otworzyły. W mieszkaniu, które zajmuję do dziś, wówczas żyła moja babcia, ciotka Lola, ciotka Marysia i wujek Leopold. Wszyscy zerwali się z łóżek by mnie „obejrzeć”. Potem mnie nakarmili i położyli na kanapie w pokoju, który dziś jest... moją sypialnią własnie. Wtedy spała tam większość mieszkańców domu! Tylko babcia miała osobny pokój. Z kolei salon był pokojem „przyjęć” i nikt w nim nie spał. Do dziś ostał mi się kredens z tamtych lat.

Kiedy ciotka Marysia i wujek Leopold zostali wypędzeni ze Lwowa, mieszkanie należało do wujka Józka Utziga. Gdy dotarli do Wrocławia, wujek sprowadził ich do siebie, będąc wdzięcznym za czas, kiedy mieszkał u nich we Lwowie. On zaś przeprowadził się na plac Grunwaldzki 80, do mojej siostry Tosi. Po dwóch latach z Krakowa zabrał od cioci Loli swoją mamę, czyli moją babcie, i ją także umieścił na Sienkiewicza. Rodzinę miałem bardzo liczną, a dorastające dzieci zaczynały zdobywać wykształcenie. Dlatego poza Lolą, która w końcu także wprowadziła się do mieszkania swojego brata, przyjęto „na kanapę” Irenę, córkę cioci Julii, która mieszkała w Wąsoszu, a potem w Piskorzynie. Akurat jednak w owym czasie kanapa pozostawała wolna. Irena zdała egzaminy w liceum handlowym i wyjechała do domu na wakacje. Niewielkie jak na tę ilość osób mieszkanie było, delikatnie rzecz ujmując, zatłoczone. Jeden z moich wujków, Mądrzak, dostał pracę w zarządzie miasta jako urzędnik przydzielający lokale mieszkalne. Mieścił się on w budynku Naczelnej Organizacji Technicznej przy obecnej ulicy Piłsudskiego. Moje ciotki mogły wybrać sobie najbardziej okazałe wrocławskie wille i ogromne mieszkania. Mimo to, zajmowały z mężami i dziećmi małe norki, łudząc się, że kiedy nastanie trzecia wojna, która przywróci dawny ład, szybko się spakują i wrócą do swoich domów we Lwowie. Nawet później, w latach

siedemdziesiątych, kiedy stare kamienice były przeznaczane do rozbiórki, a lokatorom proponowano mieszkania w nowym budownictwie, brali małe, nisko położone, wciąż myśląc o rodzinnych stronach.

Kolejny dzień po moim przyjeździe wszyscy rozpoczęli w swoim, naturalnym rytmie. Wujek pojechał na siódmą do pracy, zaraz po nim wstała Lola i zaczęła się krzątać. W końcu, gdy cały dom już „chodził” i ja postanowiłem wstać. Dostałem jedzenie. Nikt za bardzo mnie nie wypytywał o więzienie. Jeszcze przez kilka kolejnych dni byłem eksponatem, który przychodziła oglądać dalsza część mojej rodziny. W końcu trzeba było postanowić, co teraz się ze mną stanie. Krewni przyjęli mnie niezwykle ciepło. Widywałem też Mądrzaków, którzy mieszkali w tej samej bramie na górze. Ciocia Halina i wujek Ludwik, którzy wyjechali z Wieliczki, znaleźli się w końcu w Szczawnie Zdroju. Moja siostra Tosia, która przeprowadziła się wraz z ciotką Miłą do Wrocławia sporo wcześniej, zamieszkała przy wspomnianym już placu Grunwaldzkim. Ponieważ ciotki nie mogły bez siebie żyć (i mówię to bez przekąsu), wkrótce Halina i Ludwik przyjechali do Wrocławia i zamieszkali u Tosi w małym pokoju. Trwało to aż do roku pięćdziesiątego, kiedy moja siostra wyszła za mąż (podczas mojej odsiadki). Wtedy przeprowadziła się na Piastowską 23, do mieszkania swojej teściowej. Nigdy nie mogłem tego zrozumieć, dlaczego zamieniła swoje mieszkanie na pokój z kuchnią i wspólną toaletą na półpiętrze, w którym żyła z mężem i jego matką. Później na chwilę się stamtąd wyprowadziła, szczególnie że kłóciła się z współmałżonkiem, zakochanym w swoich książkach i pracy. Aby najlepiej opisać mojego szwagra, przytoczę historię.

Gościłem u Tosi, kiedy jej mąż wrócił do domu lekko podchmielony. Usiadł koło mnie w kuchni i powiedział: „Wiesz, Poldziu? Ja naprawdę nie rozumiem za co ci ludzie mnie tak lubią?”. Wstał i poszedł do pokoju. I faktycznie był lubiany, choć ja postrzegałem go jako egoistę. W domu był chłodny uczuciowo i nie dawał się kochać. Ale nie odniosłem przecież takiego wrażenia przy pierwszym spotkaniu. A wyglądało ono tak, że małżonkowie z synem w wózku wybrali się na spacer. Przyszli na Sienkiewicza, a ja zszedłem do nich na dół. Pamiętam to tak dobrze, bo spotkanie na wolności z siostrą było wielką radością po prawie dwóch latach odsiadki. Dowiedziałem się wtedy, że Tosia pracuje w charakterze sekretarki u przedwojennego profesora otolaryngologii, pana Teofila Zaleskiego, na Akademii Medycznej przy ul. Chałubińskiego 2.

Póki co, chłonałem nowy świat, życie w innym mieście, spotkania rodzinne i wolność. Ale miałem też plan do wykonania: zgłosić się na milicję i znaleźć pracę.

Moje odczucia po odzyskaniu wolności były niesamowite, zupełnie niezrozumiałe dla kogoś, kto nie przeżył więzienia. Wyszedłem z domu. W myślach powiedziałem do siebie: „A teraz idziesz na róg ulicy”. Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Nikt mnie nie pilnował... nie krzyczał. Stałem na rogu. Kiedy nic się nie wydarzyło, ponowiłem scenariusz.

- „Teraz do drzewa” - myślałem. Znów nic się nie działo. Nikogo za mną nie było. Ale poczucie niebezpieczeństwa mijało powoli. W końcu wsiadłem w tramwaj i nawet zapłaciłem za bilet! Przejechałem dwa przystanki i znów nic się nie stało. Niesamowite... Wiedziałem, że będę musiał się przyzwyczaić do nowej rzeczywistości.

Zgłosiłem się na posterunek milicji na Piastowskiej 40. Wewnątrz podszedłem do okienka i podałem dyżurnemu dokument z więzienia informując, że to właśnie ja i dopełniam swoich obowiązków względem prawa. Odwrócił się na chwilę. Przybił mały stempelek z datą. Miałem się meldować się dwa razy w tygodniu. Ale dyżurny powiedział, bym przychodził trochę rzadziej, kontrolnie. Właściwie to sporadycznie... Tak też uczyniłem, nie ponosząc za to żadnych konsekwencji. Teraz musiałem znaleźć pracę.

W międzyczasie profesor Teofil Zaleski, przełożony mojej siostry, powiedział jej, że chętnie by się ze mną spotkał. Nie miałem oczywiście pojęcia dlaczego. Pamiętam go całkiem nieźle. Był to starszy, elegancki pan, który ubierał się na czarno i miał długą szpiczastą brodkę. Poszedłem więc do niego. Rozmawiał ze mną niedługo i dość zdawkowo, ale bardzo miło. Było to dla mnie wspaniałe przeżycie, choć nie do końca pamiętam o czym rozmawialiśmy. Dzięki mojej siostrze spotkałem się także z jej przyjaciółką, która to z kolei pracowała niegdyś jako sekretarka profesora Edwarda Szczeklika, internisty. Pamiętam, że kiedy się spotkaliśmy, była w ciąży. Pracowała na Gdańskiej, w Wojewódzkiej Przychodni Zdrowia Psychicznego. Wówczas jej szefem był doktor Adolf Leligdowicz, były adiunkt profesora Szczeklika. Przyjaciółka nazywała się Ewa Michalska. Być może sama z siebie lub za namową siostry, na jednym z zebrań personelu medycznego na Gdańskiej, Ewa zakomunikowała, że doktor Leligdowicz przyjmie Leopolda Cyganika na gońca. Oczywiście doktor nie miał o tym pojęcia. Ale ponieważ powiedziała to jego prawa ręka, wszyscy

przyjęli ten fakt do wiadomości. W ten sposób dostałem pracę.

Poza obowiązkami narzuconymi mi przez, jak ja to nazywam, „uniwersytet więzienny”, który sprawił, że wydorostałem w bardzo niedługim czasie, sam obrałem sobie kolejny życiowy cel. Wbrew wszystkiemu, co działo się przed więzieniem, teraz moją drogą miała się stać nauka, do której tuż po wojnie trzeba było mnie zaganiać siłą. Chciałem mieć maturę. Ponieważ musiałem pracować, w grę wchodziło tylko liceum wieczorowe. Z moim ostatnim świadectwem, które z Krakowa zabrała moja ciotka, pojechałem do Liceum dla Pracujących nr 1 przy ulicy Poniatowskiego. Sekretarka zaanonsowała mnie u pani dyrektor. Przy rozmowie dowiedziałem się, że muszę przynieść zaświadczenie o zatrudnieniu i do szkoły zostaną zapisani, do dziesiątej klasy.

Pierwszego września rozpocząłem naukę. Zwiedzałem nowe miasto i poznawałem je. Pracowałem w przychodni. Nie miałem wtedy jeszcze kontaktu z pacjentami, nawet nie widywałem ich za bardzo. Poza tym, oczywiście, zrodziło się we mnie takie marzenie (dużo zresztą wcześniej, już gdy leżałem połamany w szpitalu w Krakowie), by zostać lekarzem. Ale absolutnie nie psychiatrą. Raczej chirurgiem. W szkole nikt się z nikim nie znał. Dlatego nie wiem co, ale chyba po prostu wrodzony talent organizatorski i nieokreślone powody do wzbudzania zaufania w ludziach sprawiły, że wybrano mnie na przewodniczącego klasy. Mimo, że przez pierwsze parę miesięcy nie było nawet mowy o przyjaźniach klasowych. Wszyscy ludzie, którzy uczyli się ze mną, mieli podobny tryb dnia. Rano wstawali do pracy, gdzie spędzali połowę dnia. Zgodnie z ówczesnym prawem, osoby uczące się miały możliwość wyjścia z pracy godzinę wcześniej. Jeśli zdążyli, zjedli obiad podczas przerwy, a potem gnali co sił na lekcje, które kończyliśmy nieraz o dwudziestej drugiej. I tak codziennie, od poniedziałku do soboty włącznie. Tym bardziej, że nasza kadra nie miała tyle wyrozumiałości, by wybaczyć spóźnienie, czy nieprzygotowanie. Jeśli pracujący chciał się uczyć, to musiał przestrzegać zasad panujących w szkole.

W końcu jednak udało nam się nawiązać szkolne znajomości. Niektóre z osób z mojej klasy były ode mnie młodsze, czyli w tym wieku, w którym normalnie idzie się do liceum. Potem zresztą okazało się, że zostały przyjęte do szkoły dla pracujących na podstawie podrobionych zaświadczeń z miejsc pracy. Ale były też osoby dużo starsze. Jeden z moich kolegów, gdy pisaliśmy maturę, miał już sześćdziesiąt dwa lata! Ze szkoły

pamiętam ludzi interesujących, z bagażem doświadczeń podobnych do moich. Profesorowie także byli już ludźmi starszymi, choć ich przedwojenne wykształcenie z pewnością było sporym atutem.



Mama z najstarszą moją siostrą,
Antoniną Bernacką.

Bardzo było mi ciężko nauczyć się słuchać i uczyć. Miałem olbrzymie trudności w pochłanianiu wiedzy, zapamiętywaniu i skupianiu się. Do mojej głowy nic nie docierało. Musiałem się też nieco rozpisnąć, bo nie nadążałem za nauczycielami. Czuję, że muszę to w sobie przezwyciężyć. Poznałem wtedy Józia Lewandowskiego, lwowiaka. Był młodym człowiekiem, ale miał już żonę i dziecko. Z wykształcenia był jubilerem. Zaprzyjaźniliśmy się, nawet bardzo, choć obaj byliśmy zajęci, a nasze życie wypełniała praca. Motywowaliśmy się wzajemnie do nauki. Choć brakło nam czasu, byliśmy „doroślejsi” niż inni uczniowie z naszej klasy. Może właśnie dlatego kolejną osobą, która niezwykle mnie zmotywowała, był profesor Emil Stefański, który uczył nas chemii i fizyki.

Pracował na Politechnice. Tak jak ja pochodził z Kresów. Nie był już najmłodszy, mimo to dostrzegł we mnie kompana do rozmów. Profesor także siedział w więzieniu, choć nieco krócej niż ja. Ta przyjaźń wzmocniła mnie wewnętrznie. Część nauczycieli, w tym oczywiście nasza pani dyrektor Ewa Jaszczerska, byli partyjni. Mieli dzięki temu duże „chody”. Nawet im profesorowie byli przychylni. Oni także nie obnosili się z przynależnością do partii. Dzięki nim zorganizowałem kiedyś zabawę taneczną w auli przy Poniatowskiego. Byliśmy przecież dorośli. Dzięki temu dyskurs między nami a kadrą został nieco skrócony. Na zabawie był alkohol. To jednak nie sprawiło, że przestaliśmy się uczyć, licząc na dobre

wspomnienia z zakrapianej zabawy. Wszyscy mieliśmy poczucie, że musimy coś w życiu osiągnąć. Dlatego pracowaliśmy ciężko nad sobą, by zdobyć wykształcenie dzięki własnemu uporowi. Dziesiątą klasę ukończyłem, oczywiście nadal pracując, jako osoba, która ma czas dla innych, szczególnie, jako organizator masowych przedsięwzięć. Wobec czego w klasie jedenastej zostałem już nie tylko przewodniczącym klasy ale i rady szkolnej!

W pracy nie przyjaźniłem się z nikim. Oczywiście poza panią Ewą Michalską, która była moją szefową. Zawsze interesował mnie fakt, że była wówczas w ciąży, a nie miała męża ani narzeczonego. Ale ponieważ moja siostra, gdy ją o to zapytałem, burknęła coś pod nosem i zbyła mnie, postanowiłem póki co w to nie wnikać. Długo zresztą nie pracowałem na Gdańskiej (za pierwszym razem, bo potem wracałem tam jeszcze dwukrotnie...). Stało się tak za sprawą mojego wujka Józefa Utziga.

Cdn.

Jan Tarnawski

Portret Ojca

Żył człowiek ubogi i stary
Cóż miał od życia? Wspomnienia.
Młodość w tułactwie i senne mary
Miłosne ciche marzenia...

Cichy, uczony, spokojny
I skromny niczym stokrotka.
Choć przeżył dwie ciężkie wojny
Lecz szczęścia w życiu nie spotkał.

Gdy wreszcie po latach udręki
Powrócił do domu, do życia.
Wróciły znowu obrazy męki -
Koszmarne, wojenne przeżycia.

Więc myślał, kiedy prąd życia
Zmieni koryto biegu?
Czy kij wzniesiony do bicia
Przez los uderzy znów w niego.

Zaświeci słońce, zaświeci
Radością lecz nie Tobie.
Wolnością odetchną tve dzieci,
A Tobie zaświecą na grobie.

Ach, zaświecą nam zaświecą
Kilka świeczek na Zaduszki.
Może przyśni nam się wiosna
I miękkie poduszki...

Strofy pochodzą ze zbioru *Wiersze* nadesłanego do redakcji przez p. Stanisława Tarnawskiego.

Janusz Rozwadowski

Wycieczka do Plenikowa

Propozycję pracy nad spisaniem wspomnień (później w wydaniu książkowym mają tytuł *Dlaczego zostałem lekarzem*) otrzymałem od Pana Zawadzkiego w 2013 roku. Nie bardzo rozumiałem, dlaczego ja. Nie bardzo wiedziałem w pierwszej fazie współpracy o co dokładnie chodzi Panu Władysławowi. Zaczęliśmy się spotykać, rozmawiać. Pan Władysław kupił dyktafon. Nasze rozmowy były nagrywane. Ja sądziłem, że będziemy tworzyć drzewo genealogiczne rodziny Zawadzkich. Inicjator spotkań współpracował w tej kwestii, w każdym razie nie oponował. Ja miałem doświadczenie w kwestii badania historii rodzinnych. Od kilkunastu lat

badalem dzieje swojej rodziny. Stworzyłem wzór karty do spisania danych osobowych. Miałem bazę około pięciuset osób związanych z moją rodziną. Również rozpocząłem pracę nad historią rodziny żony. Chwaliłem się swoją pracą między innymi Panu Władysławowi. Oglądał, kiwał głową z aprobatą.

Dostałem propozycję wspólnej pracy. W ciągu pół roku stworzyliśmy bazę z około dwustu osób. Podobnie jak w przypadku mojej rodziny, nie udało się wyjść poniżej 1860 roku. Mrok, czarne plamy! Brak informacji. Drzewko zostało zrobione. Poznałem korzenie, rodzina, którą opisywałem stała mi się bliska. Poznając dziadków i ojców Pana Zawadzkiego zacząłem rozumieć, skąd w nim taki zdecydowany charakter, skąd zasady, którymi kieruje się w swoim życiu. Szlachetność tego człowieka wynikała z pochodzenia i wpojonych zasad. Człowieka tego poznałem przez moją żonę. Jej poprzedni partner i mąż, Zbigniew, był synem Władysława i Gertrudy Zawadzkich. Po śmierci Zbigniewa teściowie utrzymywali bliskie kontakty z synową i wnuczką. Gdy związałem się z Mariolą Zawadzką zostałem bardzo ciepło przyjęty przez tych wspomniałych ludzi.

Sądziłem, że to koniec pracy „pisarskiej” dotyczącej p. Władysława. Poproszony zostałem o następne spotkanie:

- Wydaje mi się, że miałem ciekawe życie. Zbliżam się do kresu. Chciałbym opisać moje życie, spisać swoje wspomnienia.

- Jestem pewny, że pańskie życie jest warte uwiecznienia.

- Proszę, żebyś ty się tym zajął!

- Ja!?! Powinien to zrobić profesjonalista!

- Czytałem kilka rzeczy napisanych przez ciebie. Wiem, że potrafisz. Ja chcę spisać swoją historię i wydać ją. Może ktoś przeczyta, zastanowi się, pomyśli o przemijaniu i ulotności.

Przez półtora roku spotykaliśmy się dwa razy w miesiącu. Rozmawialiśmy przez dwie do trzech godzin. Słuchając wspomnień Pana Władysława wędrowałem z nim, cofałem się w czasie i przenosiłem się w tamte klimaty i przestrzenie. Wiedziałem, że powinienem pojechać na Ukrainę, zobaczyć tamtą ziemię, tamto niebo, usłyszeć szum lasów, traw, wody w rzece. Poczuć tamte zapachy. Pobyć tam z miejscową kulturą, przyrodą. Porozmawiać z żyjącymi tam ludźmi.

Dyktafon rejestrował. Pan Władysław był dobrym gawędziarzem. Był też dobrym słuchaczem. Później odsłuchiwałem nagranie, wszystko spisywałem, wstępnie redagowałem. Pojedyncze opowieści zaczęły skła-

dać się w spójną całość. Wyłaniał się obraz człowieka pogodzonego ze swoim losem w poszczególnych etapach życia a jednocześnie znajdującego cel i dążącego do niego z determinacją. Na następnym spotkaniu czytaliśmy to, co napisałem. Autor wnosił swoje uwagi i kontynuowaliśmy.

Czułem konieczność pojechania na Ukrainę. Proponowałem Panu Z. żebyśmy razem pojechali w tamte strony.

- Moja noga tam nie postanie! - Słyszałem nieodmiennie. Pytałem, dlaczego nie chce tam pojechać.

- Boję się!

Praca skończona! Gotowa do wypuszczenia w świat. Zacząłem szukać wydawnictwa. W 2016 roku owoc dwuletniej pracy ukazał się drukiem. Pan Zawadzki nie krył zadowolenia. Był tylko zdziwiony, że jego książki nie ma na półkach księgarń. Nie przyjmował do wiadomości faktu, że Internet jest tą księgarnią gdzie jego książka leży i czeka na czytelnika. Przekazaliśmy książkę nieodpłatnie bibliotekom w Lubinie, Legnicy, Ścinawie, Polkowicach, Bolesławcu. Podarowaliśmy ją do bibliotek szpitalnych w wyżej wymienionych miastach. Otrzymali książkę członkowie rodziny Zawadzkich, mojej rodziny, znajomi i przyjaciele. Około trzystu egzemplarzy kupili czytelnicy. Recenzje pisemne i ustne utwierdziły Pana Zawadzkiego, że dobrze zrobił. Był usatysfakcjonowany. Zaczął snuć plany wydania dalszego ciągu.



Domy
w zabudowie
szeregowej
w Przemyślanach,
zapewne
na ulicy
Borszowskiej.
2018 r.
Fot. Janusz
Rozwadowski.

Na początku 2018 roku zaczęliśmy z moją żoną planować wyjazd

na Ukrainę. Jej rodzice pragnęli „ostatni” raz odwiedzić rodzinne Podhajczyki i Chłopczyce. Braliśmy pod uwagę zwiedzenie Przemyślan i Plenikowa. Pojechalismy 30 maja 2018 roku.

Zamieszkaliśmy w zespole „Hotel i Restauracja Complex HOP-OK” w miejscowość Brodki, w odległości około trzydziestu kilometrów od Lwowa przy drodze magistralnej M-06. W hotelu było tak, jak pisali w swojej reklamówce: goście mają dostęp do baru, ogrodu i tarasu. Oferuje on restaurację, całodobową recepcję oraz bezpłatny bezprzewodowy dostęp do internetu w całym budynku. Dostępna jest obsługa pokoju. Hotel oferuje bezpłatny parking oraz płatny transfer lotniskowy. Wszystkie pokoje wyposażone są w telewizor z płaskim ekranem i dostępem do kanałów telewizji kablowej. Pokoje w kompleksie są klimatyzowane i posiadają łazienkę.



Tablica stojąca na początku Plenikowa. Fot. Janusz Rozwadowski.

Przebywaliśmy tam od 31 maja do 3 czerwca. Zwiedziliśmy Lwów, odwiedziliśmy Rudki i liczną rodzinę mojej żony i teściów. Dla mnie najważniejsze były Przemyślan i Pleników. Czułem dreszczyk emocji. Widziałem oczami wyobraźni miejsca, o których tyle słyszałem i które opisywałem. Chciałem stanąć na miejscu, gdzie kiedyś był dom rodziny Zawadzkich, Czajkowskich. Miałem nadzieję spotkać kogoś, kto te miej-



Rozpoczęta budowa domu w Plenikowie przy przystanku. Fot Janusz Rozwadowski.

ca pokaże. Chcę oprócz Plenikowa zajrzeć do Ciemierzyniec i Wiśniowczyka. Żeby tylko pogoda dopisała.

Rankiem po spożyciu śniadania i wypiciu kawy wyjechaliśmy z hotelu kierując się na zachód. Żona Mariolka, jej mama Maria, ojciec Władysław i ja. Drogą magistralną M-06 dojechaliśmy do trasy magistralnej M-09. Od naszego ostatniego pobytu w 2004 roku zmieniło się na korzyść, jeżeli chodzi o drogi główne, magistralne. Tu należy podkreślić, że drogi magistralne na Ukrainie spełniają europejskie standardy dotyczące nawierzchni. [1]

Z drogi magistralnej zjechaliśmy na drogę terytorialną T-14-17, którą dotarliśmy do Przemyślan. Przebycie tego odcinka wzbudziło nasz podziw do pieszych, przedwojennych wędrowek Pana Zawadzkiego i żyjących wtedy ludzi. Na pewno było wtedy inaczej i nie wędrowali szosami. Przejechaliśmy około pięćdziesięciu kilometrów licząc od hotelu. Miasto to zwiedziliśmy jeżdżąc samochodem w te i we wte. Biednie tu wszystko wyglądało. Ludzi nie było widać. Może dlatego, że to dzień powszedni i pracowali. Bardzo mało samochodów. Kierując się mapą i pytając napotkanych ludzi wjechaliśmy na drogę 0141102. Tak jak nawierzchnia drogi T-14-17 pozostawiała wiele do życzenia to droga, na którą wje-

chaliśmy nie spełniała żadnych standardów, do których jesteście przyzwyczajeni w Polsce. (Tu muszę zauważyć, że drogi w okolicach Rudek, Podhajczyk, Chłopczyc od naszego ostatniego pobytu wręcz się pogorszyły.)

Prędkość podróżowania spadła do dwudziestu kilometrów na godzinę, mimo że podróżowaliśmy samochodem RAV-4. Mijane wioski - Borszów, Wypyski - to praktycznie pojedyncze chaty. Na drodze zero samochodów. Ciemierzynce powitały nas okazałą cerkwią na wzgórzu, wokół której widać było groby cmentarza. Z przewodnika dowiedziałem się, że jest to Cerkiew Świętej Trójcy. Powiedzieliśmy sobie, że obejrzymy cerkiew z bliska w drodze powrotnej. Tutaj droga skręciła mocno w lewo, nawierzchnia stała się jeszcze bardziej zaniedbana. Wokoło rozciągały się soczyste łąki nawadniane wodami rzeczki Złota Lipa. Widzieliśmy pasące się spętane konie. Po lewej stronie drogi pojawił się las liściasty. Ujrzelśmy idące drogą dwie młode dziewczyny. Potwierdziły, że do Plenikowa dobrze jedziemy. Po kilku minutach ujrzelśmy tablicę informującą, że dotarliśmy do celu podróży. Licznik pokazuje, że od Przemyślan przejechaliśmy ponad dwadzieścia kilometrów. Nasz podziw do przedwojennych pieszych wędrówek wzrósł. Oni wtedy chodzili swoimi ścieżkami, na skróty.

Na rozwidleniu ujrzelśmy wiatę przystanku autobusowego. „Rondo” wskazywałoby, że autobus tutaj kończy bieg i zawraca. Przy wiacie ujrzelśmy budowlę w toku. Budynek rozpoczęty, nieskończony, trudno powiedzieć czemu ma służyć. Wjechaliśmy do Plenikowa. Po chwili droga stała się polną z głębokimi koleinami. Zabudowania, które ujrzelśmy sprawiły przygnębiające wrażenie. Praktycznie w jednej zagrodzie ujrzelśmy coś nowo wybudowanego. Po prawej stronie teren wznosi się, a po lewej opada w dół. W dole widać stawy i wijącą się rzeczka. Jest całkiem jak opowiadał Pan Zawadzki. Usiłujemy złapać jakiegoś „języka”. Widzimy krzątającą się w obejściu kobietę. Zatrzymujemy się. Kobieta podchodzi do płotu.

- Dobrze utro! – mówię.

- Dobrze utro! – odpowiada.

- My prijechali z Polski. Wy znajecie nazwisko Zawadzki?

- Niet! Ja ne znaju. Możet być mój otiec znajet!

Poszła w stronę chaty. Po chwili wyszedł o kuli starszy mężczyzna. Pytam, czy zna nazwisko Zawadzki. Oni tu mieszkali przed wojną. Od-

powiada, po zastanowieniu, że byli tacy. Ale ich nie ma. Ich domu też nie ma. Spalił się w czasie wojny. Pytam o Czajkowskich. Pamięta. Ale ich też nie ma od wojny. Domu też nie ma. Dopytuję tego człowieka o jego wiek. Mówi, że urodził się w 1936 roku. Myślę, że ten Pan raczej nie opierał się na swoim pamiętaniu tamtych czasów. Raczej pamiętał to, co mówiono, o czym opowiadano. Niestety w krótkiej rozmowie nie wyjaśniłem tego. Pamiętałem bowiem, że według nacjonalistów ukraińskich, w tamtym czasie Czajkowsy i Zawadzcy byli ciemżycielami ludu ukraińskiego. Wręcam kobiecie książkę Pana Zawadzkiego, mężczyźnie drugą. Są zdziwieni, ale przyjmują książki z podziękowaniem.



Jeden z nielicznych domów w Plenikowie. Fot. Janusz Rozwadowski.

Jedziemy dalej. Kończy się droga. Jesteśmy w polu. Zawracamy. Zaczyna się chmurzyć i zaczyna padać deszcz. Widzę, że w obejściu poniżej jest jakiś mężczyzna. Wołam do niego. Zaprasza do siebie. Deszcz leje. Oberwanie chmury. Drogą wiodącą do chaty płynie natychmiast potok wody. Idziemy z Mariolką do chaty. W chacie jest starsza kobieta. Matka mężczyzny. Podejmujemy rozmowę pytając o Zawadzkich i Czajko-

wskich. Nie znają, nie pamiętają. Ich rodzina wtedy tu nie mieszkała. Wręczam książkę. W strugach deszczu wracamy do samochodu. Zrobiliśmy niewiele zdjęć. Padły baterie w aparacie i w telefonie. Zrezygnowaliśmy z poszukiwania miejsca po domu Zawadzkich i zwiedzenia ruin kościoła ze względu na deszcz. Nie zajrzeliśmy do mijanej cerkwi w Ciemierzyńcach. Wróciliśmy do hotelu z niedosytem i wrażeniem, że nie wykonaliśmy planu. Miałem świadomość, że następnego razu nie będzie. Na szczęście smacznie podany późny obiad w hotelowej restauracji poprawił mi humor. Odpowiednio schłodzone piwo było wyborne.

Po powrocie do kraju spotkaliśmy się z Panem Zawadzkiem. Był bardzo poruszony naszymi opowieściami i zdjęciami swoich rodzinnych stron.

[1] Ukraińskie drogi posiadają kilka oznaczeń, które znajdziemy na mapach. „M” – drogi magistralne, „H” – drogi krajowe, „P” – drogi regionalne, „T” – drogi terytorialne (odpowiednik naszych wojewódzkich). Tak jak w przypadku tych pierwszych prawie zawsze możemy spodziewać się w miarę dobrej nawierzchni, przy poruszaniu się drogami o niższej randze trzeba zachować szczególną ostrożność. Tym bardziej, że jakość nawierzchni jest często losowa – nie należą do rzadkości sytuacje, gdy po 20 kilometrach równej drogi nagle zza zakrętu wyłoni się wyrwa na pół samochodu, w której w najlepszym wypadku stracimy koło.

Red. Na stronie www.miasta-galicyi.pl/assets/materiały/tom_47_sz.pdf ukazało się kolejne opracowanie z cyklu Galicyjskie miasta i miasteczka w józefińskim katastrze gruntowym, tom XLVII. Zawiera on informacje o Bóbrce, Mikołajowie i Świrzu, opracowane przez Grzegorza Zamoyskiego. Poniżej znajduje się tekst wypisany z tego opracowania o Świrzu, będący przyczynkiem do jego historii.

Świrz w józefińskim katastrze (cz. I)

Status prawny i położenie geograficzne

Świrz - miasteczko w cyrkule brzeżańskim, leżące nad rzeką Świrz, sąsiadujące z następującymi miejscowościami: Niedzieliska, Chlebowice Świrskie, Stoki, Strzałki, Wołowe, Podhorodyszczce, Romanów, Siedliska, Hanaczów, Krościenko, Czupernosów, Kimirz i Uszkowice. Siedziba dominium złożonego z kilkunastu miejscowości.

Struktura własnościowa

Świrz był własnością hr. Dominika Cetnera. Oprócz tego w miasteczku istniały 3 części plebańskie: jedna należąca do parafii rzymskokatolickiej, dwie do parafii greckokatolickich.

Przestrzeń miejska

Ogólna powierzchnia miasta wynosiła 4252 morgi 1473 sążni (2424 ha), w tym grunty rustykalne zajmowały 1591 mórg 1184 sążnie (907 ha), a dominikalne - 2661 mórg 289 sążni (1518 ha).

Do gruntów dominikalnych zaliczono ziemię należąca do właściciela dziedzicznego oraz duchownych:

- a) hr. Dominik Cetner - 2506 mórg 218 sążni (1428 ha),
- b) parafia rzymskokatolicka - 107 mórg 764 sążnie (61 ha),
- c) parafia greckokatolicka w administracji ks. Bieleckiego - 22 morgi 591 sążni (12 ha),
- d) parafia greckokatolicka w administracji ks. Teodora Podłużowicza (Podłużewicza?) - 25 mórg 316 sążni (14 ha).

W metryce józefińskiej w Świrzu wyodrębniono 5 niw:

- I. Z Ogrodami, numery działek: 1-319.
- II. U Gościńca Kimirskiego, numery działek: 319 1/2- 660.
- III. W Rzepiskach za Potokiem, numery działek: 661-854.
- IV. Za Ganczarami, numery działek: 855-911.
- V. Za Stawem, numery działek: 912-1014.

Ponadto w przysiółkach Świrzyk i Kopań wyróżniono 3 niwy:

- VI. Ogrody przy Obejściach Wioski Świrzyk, numery działek: 1015-1114.
- VII. Hołodówka, numery działek: 1115-1458.
- VIII. Kopań, numery działek: 1459-1644.

Jednostki miary:

- powierzchni - 1 morga = 1600 sążni = 0,57 ha,
- długości - 1 sążeń = 6 stóp = 1,9 m,
- objętości zboża - 1 korzec = 32 garnce = 123 l,
- objętości siana - 1 cetnar = 40,5 kg.

Jeśli chodzi o strukturę gruntów uprawnych i nieuprawnych, pola orne zajmowały powierzchnię 960 mórg 50 sążni, uprawy zakwali-

fikowane jako łąki - 1929 mórg 1288 sążni (w tym: łąki - 978 mórg 213 sążni, stawy - 68 mórg 590 sążni, ogrody i sady - 173 mórg 1152 sążni, pastwiska - 709 mórg 933 sążni), a lasy - 1363 mórg 135 sążni. Z tego do gruntów dominikalnych możemy zaliczyć 329 mórg 495 sążni pól ornych, 968 mórg 1259 łąk i ogrodów oraz 1363 morgi 135 sążni lasów, a jako grunty rustykalne można zaklasyfikować 630 mórg 1155 sążni ziemi ornej i 961 mórg 29 sążni łąk i ogrodów.



Szosa Świrz-Bóbrka (po lewej) i droga polna przez Świrzyk, stan 2013 r.
Fot. Adam Groblewski

W świetle metryki józefińskiej w Świrzu i Świrzyku znajdowały się 242 budynki mieszkalne, w tym zamek, baszta murowana, rezydencja proboszcza, dworek, 21 domów i 219 chałup. W księdze pomiarów odmiennie potraktowano 19 domów należących do Żydów, określając je jako domki, w odróżnieniu od chałup. Prawie wszystkie budowle znajdowały się na obszarze niwy I. Z Ogrodami; na niwie II wymieniono 17 chałup dworskich (folwark), na niwie III - 3 chałupy z ogrodami, na V - dom, na VI - 49 chałup, na VIII - 16 chałup.

W mieście znajdowało się kilka budowli publicznych, tj. „ratusz na arendę”, dwie cerkwie z cmentarzami i szkoła żydowska (bożnica). Gmina żydowska posiadała ponadto „chałupę kahalną” oraz cmentarz (okopisko). Choć księga pomiarów nie wymienia kościoła rzymskokatolickiego, to

wskazuje na inne budynki i place należące do parafii: rezydencję księdza proboszcza, chałupę księdza wikarego, ogród szpitalny, cmentarz, pasiekę księżą.

W metryce józefińskiej znajdujemy zachowany w miasteczku zamek, murowaną basztę, wał ziemny traktowany jako pastwisko i murowany loch. Zamek zachował się zapewne w kiepskim stanie, skoro uznano, że przynosi niewielki dochód jako łąka. Przy zamku znajdował się ogród o powierzchni ponad 2 mórg. Ponadto spis wymienia w miasteczku hrabiowski folwark.

Liczba obiektów gospodarczych była niewielka. W metryce józefińskiej odnotowano jedynie kilka młynów: „młyn przy stawie”, „młynek przy grobli”, „młynek przy chałupie” oraz 6 karczm (winniczki) żydowskich, 2 winnice dworskie i winnicę ks. proboszcza. W miasteczku istniały tereny przeznaczone na pasieki (pasieczyska) - spis wskazuje na istnienie trzech takich obszarów, jeden z nich należał do miejscowych duchownych („pasieka księży”).

Do wymienianej w metryce józefińskiej infrastruktury technicznej trzeba zaliczyć przede wszystkim drogi. Część z nich posiadała swoje nazwy: droga wiodąca od Brzeżan, droga z Przemyślan, droga „z miasta do Lwowa” (zwana też gościńcem lwowskim), droga z miasta do Rohatyna i Tucznej, droga z miasteczka do Bóbrki. Spis wskazuje także drogi do pobliskich wsi: droga z Kimirza, droga z miasteczka na Halinę, droga z miasta do Wyżnian, droga z Chlebowic, droga do Romanowa, droga „dawna w miasto idąca”. Drogi i drożki lokalne również zostały szczegółowo wyróżnione w spisie józefińskim miasteczka: droga między chałupami, droga poza chałupy na łąny, droga z miasteczka na ostrów, droga pomiędzy pola, droga z miasta w pola i krzaki, droga ku pasiece księży, droga z miasta na folwark księży, droga „ze wsi w lasy”, droga „od winnic do młyna”. Ponadto wymieniono mostek przy stawie Kopańka (*kopańskim?* - *J.W.*) i groblę, przy której stał młyn.

W Świrzu i Świrzyku było sporo obiektów fizjograficznych, głównie potoków, określanych też jako rzeki. Niektóre z nich miały swoje nazwy, np. potok Czarnołęski, potok Suchy Świrzyk. Inne określano w sposób opisowy, np. potok płynący z Haliny do stawu, rzeka w stawie czy potok z Kimirzysk do stawu, „rów - ściek wodny”. W miasteczku było też kilka stawów: Za Dębiną, stawek górny zwany Kopańka czy staw bez nazwy, do którego wpadały wymienione wcześniej potoki. Metryka

wymienia również tereny błotniste: „błota nieużyteczne”, „błoto Barzan zwane”, bagno nieużyteczne i liczne tereny określane jako błota, „droga w grzędzie idąca”. Spis opisuje także okoliczne wzgórza („góra kamienista”, „góra piaszczysta kamienna”).

Zachowane zostało nazewnictwo lasów w Świrzu i pobliskim Świrzku - las „Pod Powliną”, las „Mołoczawy zwany”, las „przy g ościńcu do Lwowa”, las Gniła. Księga spisowa miasteczka wymienia liczne zarośla, traktowane jak przynoszące dochód łąki i określane jako dąbrowy.

Przestrzeń publiczno-polityczna

Z analizy zapisów w metryce józefińskiej wynika, że w Świrzu istniał jeden ośrodek władzy dworskiej, którą reprezentował hr. Dominik Cetner. Władzę duchowną reprezentowali proboszcz rzymskokatolicki i parochowie greckokatolicki oraz zapewne rabin, jako przełożony gminy żydowskiej. [1]

Przestrzeń społeczna

Analiza informacji w metryce józefińskiej pozwala wychwycić wśród mieszkańców Świrza trzy grupy społeczno-zawodowe: posiadaczy domów (utrzymujących się zapewne z rzemiosła i handlu), właściciele domów i ogrodów o powierzchni nieprzekraczającej jednej morgi (status podobny jak w pierwszej grupie) oraz osoby, które oprócz domów i ogrodów dysponowały także polami ornymi (zapewne utrzymujące się głównie z upraw) ziemi). Do grupy pierwszej możemy zaliczyć 55 osób (głów rodzin), czyli około 20% ogółu; wśród nich było tylko 2 chrześcijan i 53 Żydów. W grupie drugiej sklasyfikowano 36 chrześcijan, czyli około 15% ogółu. Pozostałą część posiadaczy gruntowych, tj. około 65%, stanowili mieszkańcy, którzy byli użytkownikami ogrodów i pól uprawnych o powierzchni większej niż jedna morga.

W Świrzu obecni byli także rzemieślnicy. Metryka józefińska wymienia czterech rzemieślników żydowskich: rzeźnika, piekarza, kuśnierza i cyrulika, dwóch stolarzy chrześcijańskich oraz młynarza Michała Wrzeszcza.

Brak zachowanego opisanego urbarialnego miasteczka nie daje większych możliwości określenia jego struktury społecznej.

Na ogólną liczbę 268 właścicieli nieruchomości w Świrzu 215 było chrześcijanami, a 53 Żydami. Analiza brzmienia imion i nazwisk sugeruje,

że przeważała ludność o etnosie ruskim, stanowiąca około połowy jego mieszkańców; ludność polska to ponad 30% ogółu, a żydowska - około 20%. [2]

Do elity miejskiej Świrza należy zaliczyć przede wszystkim duchownych: niewymienionych z nazwiska proboszcza i wikarego rzymskokatolickiego oraz parochów grekokatolickich: ks. Bieleckiego i ks. Teodora Podłużowicza. [3] Ponadto w skład elity społecznej wchodził: plenipowenecji dominium - Kajetan Laskowski, reprezentanci miasteczka - wójt Bartłomiej Czerniak oraz przedstawiciele gromady - Michał Kisielewicz, Szymon Regorowski, Kazimierz Zezulak, Jakub Hołodniak, Stach Borszowski, Jan Podłużewicz, Jan Markowski, Krzysztof Wiśniewski, a także urzędnik leśny Józef Kłosowski.



Uroczystość przed wejściem do cerkwi grekokatolickiej w Świrzu, lata 30. XX w.
Fotografia ze zbiorów redakcji.

Cdn.

[1] W tym czasie prawdopodobnie działała również cerkiew na Górze Cerkiewnej, usytuowana po prawej stronie drogi do Kopania. Wokół cerkwi był cmentarz.

[2] Wykaz posiadaczy nieruchomości zawiera tylko 254 nazwiska. Ich analiza pozwala ustalić, że 20% było wyznania mojżeszowego i 20% wyznania grekokatolickiego, resztę - 60% - stanowiła ludność polska. Dop. J.W.

[3] W r. 1787 proboszczem w Świrzu był ks. Kazimierz Alojzy Niesłuchowski, a wikarym Józef Bonifacy Terenkiewicz.

Szczęście to przyjemność wolna od wyrzutów sumienia

Sokrates

Krystyna Salkitzoglou

Pokolenia rodziny Jedynaków z Chlebowic Świrskich (cz. II)

III

Nie zawsze łatwo jest odczytać zapisy w księgach parafialnych. Chociaż dekret Józefa II zobowiązywał księży, aby robili to sumiennie. Biskupi i księża dziekani mieli zwracać na to uwagę wizytując parafię. Za pierwsze zaniedbanie ksiądz mógł zapłacić karę 4 zł, a za kolejne więcej. [12] Ksiądz udzielający ślubu Andrzejowi ma bardzo staranną kaligrafię. Nie można oprzeć się wrażeniu, że pisanie sprawia mu przyjemność. Pierwszego listopada 1835 r. Andrzej Jedynak, syn Michała i Anastazji z domu Macyszyn, lat 19, stanu wolnego, poślubia Katarzynę Słabicką, lat 26, z Chlebowic, córkę Stefana i Katarzyny z domu Mudrak, *numerus domus 26*, oboje *subditctus ex Chlebowice*, czyli poddani z Chlebowic. W metrykach chrztu ich dzieci powtarza się numer domu 119. Najstarszy Jan, ochrzczony w kwietniu 1837. Drugi, Wojciech, urodzony w 1839 roku umiera na ospę w wieku 9 lat. 9 maja 1842 roku chrzcza **Grzegorza**. Później jest jeszcze Marianna, ale ta umiera na anginę, mając zaledwie 8 miesięcy. W rubryce *conditio* wpisane mają *agricoli*, czyli chyba gospodarz.

W XIX wieku Galicję kilka razy nawiedzał głód i epidemia cholery. Ta ostatnia w latach 1831, 1848-49, 1855 i 1873. W 1873 roku w ciągu miesiąca w parafii świrskiej umarło na tę chorobę 17 osób. Ksiądz prowadził oddzielny wykaz zmarłych. Wśród znajomych nazwisk pojawiają się Zadwórny i Mudrak. [13] Na szczęście potomków Tomka Jedynaka „cholera nie bierze”.

Pomimo chorób i klęsk urodzaju, czas i miejsce w jakich przyszło żyć Andrzejowi i Katarzynie, wydają się dość bezpiecznie, w porównaniu z tym, co dzieje się gdzie indziej i co nastąpi później. Nie wiadomo, czy docierały do Chlebowic wiadomości o chłopskim zrywie Jakuba Szeli, czyli o „krwawych zapustach”, jakie chłopci urządzili szlachcie w 1846 roku. Na znacznych obszarach zachodniej Galicji zapanowała wówczas anarchia. Chłopi dopuszczali się mordów i gwałtu. Szacuje się, że znisz-

czeniu bądź splądrowaniu uległo ponad czterysta dworów, a liczba zabitych wynosiła około tysiąca stu osób. [14] Widocznie stosunki panujące między dworem a wsią w Galicji wschodniej nie były tak napięte. W 1848 roku całkowicie zniesiono pańszczyznę i uwłaszczono chłopów. Andrzej i Katarzyna nie mają już zobowiązań wobec „jaśnie pana”. Są pierwszym wolnym pokoleniem Jedynaków! Chociaż ta „wolność” wcale nie oznaczała od razu poprawy sytuacji materialnej rodziny, to w dłuższej perspektywie dał się odczuć wzrost poziomu życia i zdrowotności na wsi. Po zniesieniu pańszczyzny chłopci mogli więcej pracować dla siebie, tym samym więcej wytwarzać żywności, a nawet ją sprzedawać. Zarobione pieniądze mogli przeznaczyć na ładniejszy ubiór, biżuterię (upowszechniły się korałe), dokupić coś do gospodarstwa albo też wydać je w karczmie.

Katarzyna umiera w wieku 67 lat – *ze starości*. Dziesięć lat później umiera druga żona Andrzeja, Maria, z domu Zadwórna, wdowa po Janie Słobodzie, również w wieku 67 lat – *ze spuchlizny*. Andrzej umiera w 1895 roku – *ze starości*. Miał 84 lata. Dożył naprawdę sędziwego wieku jak na tamte... i obecne czasy. Ostatnie lata życia spędził pod opieką wnuka, Michała, który po założeniu rodziny w 1892 wprowadził się do niego. Wskazuje na to numer domu 160 w księdze zgonów, najpierw przy wpisie dotyczącym pogrzebu Andrzeja, a dwa lata później córki Michała.

IV

Najstarszy syn Andrzeja, Jan, żeni się z Anną Słabicką wyznania grekokatolickiego. Przy okazji chrzcin ich dzieci: Katarzyny, Marii (szybko umarła), Michała, dowiadujemy się, że przynajmniej do roku 1873 mieszkali w domu 119.

Grzegorz miał 22 lata, kiedy 11 listopada 1864 r. ożenił się 23-let-



Wycinek austriackiej mapy topograficznej z 1880 r. Widnieje na niej przysiółek Zadebra (Zadibri) składający się z kilku domów. Może są to gospodarstwa zbudowane przez jakiegoś Jedynaka.

nią Katarzyną Słabicką, ale nie była to krewna jego matki ani żony brata, Anny. Początkowo zamieszkali w tym samym domu co rodzice i brat Grzegorza, ale później zmieniali adres. Świadczą o tym różne numery domów przy adnotacji o pochówku ich dzieci: 119, 70 oraz 66. W księdze chrztów kościoła w Świrzu znajdują się wpisy, dotyczące ich synów: Karol (ur. 1867), Michał (ur. 1869), Antoni (ur. 1872), Kazimierz (ur. 1875) i Jan (ur. 1876). Karol umiera jako trzytygodniowe niemowlę – *naturalna słabość*. Kazimierz żył jeszcze krócej - tylko 4 dni - z tego samego powodu, a Jan po 15 miesiącach życia, na *anginę*. 6 lutego 1882 roku ochrzczony zostaje następny syn, **Kazimierz**. Katarzyna i Grzegorz, podobnie jak inni parafianie, obawiali się *naturalnej słabości* niemowląt i zależało im, aby szybko je ochrzcić.

Józef
Chełmoński.
Orka, płótno,
olej, 1896 r.
Muzeum
Narodowe
w Poznaniu.
Domena
publiczna.



W 1868 roku w Galicji zniesiono zakaz dzielenia gruntów chłopskich, co skutkowało wzrostem ilości gospodarstw i zmniejszeniem ich powierzchni. Wcześniejsze uwłaszczenie chłopów spowodowało, że każdy musiał brać los we własne ręce, nie licząc już na opiekę dziedzica. Grzegorz nie dysponował dużym gospodarstwem. Podzielony na trzech synów nie mógłby zapewnić żadnemu z nich dostatniej przyszłości.

Po Galicji krążył list gubernatora jednej z brazylijskich prowincji, w którym proponowano Polakom darmową podróż przez ocean, działki pod uprawę i pomoc finansową przez pierwsze lata pobytu. Informacje te rozbudziły wyobraźnię Antoniego, podobnie jak wielu innych, tak niedawno wyzwolonych spod pańszczyzny chłopów. Wyjazd „za chlebem”

do Brazylii, okazał się błędem [15], który na szczęście udało się naprawić powracając w rodzinne strony. [16] Marną dolę galicyjskiego chłopca obrazuje wiersz pochowanej na cmentarzu Łyczakowskim Marii Kopnickiej: „Świecą gwiazdy, świecą na wysokim niebie, jeno nie myśl chłopie, że to i dla ciebie...”

Nie wiadomo, czy Grzegorz i Katarzyna starali się powstrzymać, lub zachęcić Antoniego, kiedy ten podejmował decyzję o wyjeździe. Nie wiadomo też kiedy umarli i z jakiego powodu. Archiwa parafii grekokatolickiej od roku 1870 zaginęły. Możliwe, że Katarzyna zmarła pierwsza, a Grzegorz chciał być pochowany obok niej.

Cdn.

[12] Paweł Rachwał, *Księgi metrykalne z czasów zaboru austriackiego...*, s. 310. http://bazhum.muzhp.pl/media/files/Rocznik_Lubelskiego_Towarzystwa_Genealogicznego/Rocznik_Lubelskiego_Towarzystwa_Genealogicznego-r2014-t6/Rocznik_Lubelskiego_Towarzystwa_Genealogicznego-r2014-t6-s306-325/Rocznik_Lubelskiego_Towarzystwa_Genealogicznego-r2014-t6-s306-325.pdf.

[13] *Spotkania Świrzan* nr 104.

[14] A. S. Więch, *O galicyjskich krwawych zapustach, czyli chłopskim zrywie Jakuba Szeli. Posłowie*, [w:] Radosław Rak, *Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli*, Warszawa 2019, s. 402.

[15] *Spotkania Świrzan* nr 108 oraz Jura Jerzy, *Emigracja z Galicji w drugiej połowie XIX w. i na początku XX w. na przykładzie wybranych powiatów*.

[16] W „Spisie familij” z Chlebowic Świrskich jest następująca informacja o braciach Kazimierza:

- Str. 160. Michał Jedynek s. Grzegorza ur. 14.09.1869 r. ożenił się w 1892 r. z Katarzyną Tymków (wyznania grekokatolickiego) ur. 29.11.1871 r. Ich dzieci: Jan ur. 18.01.1894 r., zapewne wyemigrował do Ameryki, Marcin ur. 20.02.1903 r. zmarł 13.10.1918 r., Piotr ur. 18.08.1907 r. zmarł 5.02.1909 r., Ignacy ur. 11.02.1912 r., Maria ur. 8.05.1919 r. prawdopodobnie wyjechała do Ameryki. Michał umiera w Chlebowicach w grudniu 1920 roku.

- Str. 286. Jedynek Antoni ur. 16.06.1872 r. poślubił Paulinę Słabicką (wyznania grekokatolickiego) ur. 24.06.1877 r. w Strzałkach, wioski leżącej niedaleko Chlebowic Świrskich. Ślub odbył się w Brazylii. Ich dzieci (wszystkie wyznania rzymskokatolickiego): Maria ur. 4.08.1899 r. (w Brazylii), 16.05.1921 r. wyszła za mąż za Franciszka Szczepańskiego ur. 7.04.1900 r., Anna ur. 15.10.1901 r. zmarła 23.05.1918 r., Franciszek ur. 27.08.1903 r. zmarł 11.04.1921, Karolina ur. 10.12.1907 r., Józefa ur. 7.07.1910 r. i Piotr ur. 31.10.1912 r.

Przemyślany latem 1941 r. w opracowaniu Wendy Lower

W czasopiśmie *Journal of Genocide Research* (2011, 13(3)), ukazał się artykuł W. Lower pt. Pogroms, mob violence and genocide in western Ukraine, summer 1941: varied histories, explanations and comparisons [Pogromy, przemoc tłumu i ludobójstwo na zachodniej Ukrainie, lato 1941: różne historie, wyjaśnienia i porównania. Tłum. J. W.]

Tekst jest podsumowaniem analiz różnych dokumentów (pamiętników, wspomnień itp.) Żydów z terenu Małopolski Wschodniej, które dotyczyły ich sytuacji na początku napaści Niemiec na Związek Sowiecki w 1941 r. Z opracowania wybrałem fragment związany z Przemyślanami (z rozdziału Galicja) z uwagi na względnie obiektywny opis wydarzeń, taki, który dotychczas nie występował w literaturze.

Niemcy przybyli do małego wschodnio-galicjijskiego miasteczka Przemyślany, [leżącego - J.W.] czterdzieści km na południowy wschód od Lwowa, 1 lipca 1941 r. W czasie okupacji sowieckiej (od września 1939 r. do końca czerwca 1941 r.) liczba ludności żydowskiej podwoiła się, osiągając 6000 osób, powodując obciążenie lokalnych zasobów i mieszkań, które były w większości ponoszone przez miejscowych Żydów.

W Przemyślanach była szkoła żydowska, ale Sowietci zamknęli ją w 1940 r. Większość Żydów w okolicy była wykształcona i mieszkała w mieście; oni byli głównymi rekrutami dla administracji sowieckiej. Ideologia komunistyczna była także pociągająca intelektualnie, bardziej niż radykalne ruchy nacjonalistyczne.

W okresie międzywojennym odnotowano wysoki wskaźnik asymilacji wśród Żydów uczęszczających m.in. do polskiego gimnazjum i występowanie małżeństw mieszanych. Ale w czasie okupacji sowieckiej Żydzi byli bardziej widoczni niż wcześniej w mieście, ponieważ rząd sowiecki dał im bezprecedensowe możliwości pracy na stanowiskach rządowych, których nie mogli objąć w Rzeczpospolitej Polskiej przed II wojną światową. Tymczasem Polaków jako grupę etniczną, jej inteligencję, antykomunistów i bogatszych ludzi aresztowano, wielu z nich deportowano, a niektórzy zostali zabici. Status Ukraińców w ogóle wzrósł z wyjątkiem osób związanych z ukraińskim nacjonalizmem i organizacjami emigracyjnymi.

Trzy dni po przybyciu Niemców do Przemyślan, według powo-

jennych zeznań ocalałych Żydów, „ukraiński tłum” zaatakował przywódców społeczności żydowskiej. Belzer Rebe (szef historycznej dynastii chasydzkiej z Belżca), która szukała schronienia w Przemyslanach przed okupowaną przez hitlerowców Polską, ledwo uciekł. Jego syn nie miał tyle szczęścia i został wrzucony do płonącej synagogi. [1]



Synagoga
w Przemyslanach
z XVII w.
Źródło: Wikimedia
Commons, domena
publiczna.

Po drugiej stronie ulicy od płonącej synagogi czcigodny ukraiński ksiądz katolicki, Omeljan Kowcz, obserwował te wydarzenia z niesmakiem. Kilka miesięcy później ratował Żydów, co doprowadziło do jego aresztowania i egzekucji. Pogromy zniszczyły i splądrowały wiele żydowskich domów. [2]

Niemieckie władze wojskowe wezwały żydowskich mężczyzn do rejestracji, ponieważ byli głowami każdego domostwa. Gdy nie zgłosili się, miejscowi bandyci (nie w mundurach, z kijami i z inną prowizoryczną bronią) pojмали kobiety i przyprowadzili je do miejscowego więzienia, gdzie zostały brutalnie potraktowane przez policję ukraińską. Wspomnienia ocalałych potwierdzają te akty lokalnej antyżydowskiej przemocy, rozpoczętej tuż po przybyciu Niemców. Lucy Gross Raubvogel opisała swoje przeżycia tuż po wojnie: „Spłonęła nasza wielka synagoga i wszystkie jej przybudówki. Płomienie wznosiły się wysoko, spieczone ramy okienne i ławki, na których nasi dziadkowie, ojcowie i bracia kiedyś siedzieć, teraz trzeszczały. Ogień zamienił się w niesamowity żywioł. Zebrał się tłum

chłopów wokół ognia z workami gotowymi do splądrowania, masa oddanych chrześcijan ze swoimi dziećmi, wraz z Niemcami, którzy uwiecznili na filmie ten przytłaczający widok. Ten wiatr niósł iskry z jednego budynku do drugiego, ogień trzaszał i wzbijał się w niebo bezlitośnie, a kości pierwszych ofiar chrzęściły. Rozentuzjasmowany tłum wrzeszczących chłopów, podobnie jak szarańcza, rzucił się na wszystko, co należało do Żydów. Grabili, ukradli i w niesamowitej ekstazie zniszczyli w ciągu kilku minut to, co czasami przetrwało pokolenia.” [3]

Jacob Litman, uchodząca z okupowanej przez hitlerowców Polski, mieszkająca w Przemyślanach, przypomniał: „...jak tylko Niemcy weszli spalili synagogę i wrzucili Żydów do ognia synagogi, zwłaszcza religijnych, którzy zostali zabrani z ulicy na mocy cnót ich wyglądu i brody. Przed wojną w Przemyślanach była liczna ludność chasydzka ... Rosjanie przez ostatnie dwa lata nie przeszkadzali im zbytnio, trzymali się sami. Niemcy zaatakowali ich jako pierwsi.”

Litman opisał okrucieństwa popełnione przez Niemców i Ukraińców, w tym własne cierpienie z rąk dwóch ukraińskich policjantów, którzy go wyciągnęli z kolejki za chlebem, wrzucili do piwnicy więzienia i dwukrotnie bili codziennie przez około cztery tygodnie. Został niesłusznie oskarżony o zabójstwo braci Trofimiak, którzy byli „ukraińskimi nacjonalistami niebezpiecznymi dla sowieckiego kraju”. Dlatego milicja (NKWD - J.W.) zabiła ich z zimną krwią tuż przed inwazją niemiecką.

Dziennikarz Samuel Golfard, który był świadkiem wydarzeń w Przemyślanach i pisał w czasie wojny: „Udział Ukraińców w mordzie setek tysięcy Żydów jest poza zasięgiem wszelkich sporów.... Podczas niemieckiej inwazji sami zainicjowali straszliwe masakry, w porównaniu z którymi nawet okrucieństwo Niemców wydawało się blade. Faktem jest, że Niemcy robili zdjęcia Żydów wrzucanych do płonących domów. W Przemyślanach sprawcami tego byli Ukraińcy. Gdyby im pozwolono, nawet dzisiaj by wyrznęli całe getto w pasji grabieży.”



Lusja Raubvogel, mieszkanka Przemyślan, przetrwała wojnę dzięki polskiemu świadectwu urodzenia.

Te żydowskie źródła są niezbędnymi relacjami naocznych świadków, które ustalają występowanie zbrodni popełnianych przez sąsiadów. Ale każde świadectwo zawiera swoje... własne nastawienie. Ofiary zostały wepchnięte w straszne okoliczności, które ledwie pozwoliło im ustalić różnorodne motywy swoich oprawców. Lucy Raubvogel podkreślała chciwość i wściekłość chłopów nastawionych na grabież i niszczenie własności Żydów. Litman wyjaśnił, że został oskarżony o spowodowanie śmierci. Ukraińscy nacjonaliści przyjmują zemstę jako przyczynę przemocy politycznej.



Plakat związany z powstaniem w 1943 r. formacji ludobójczej, ukraińskiej dywizji SS.

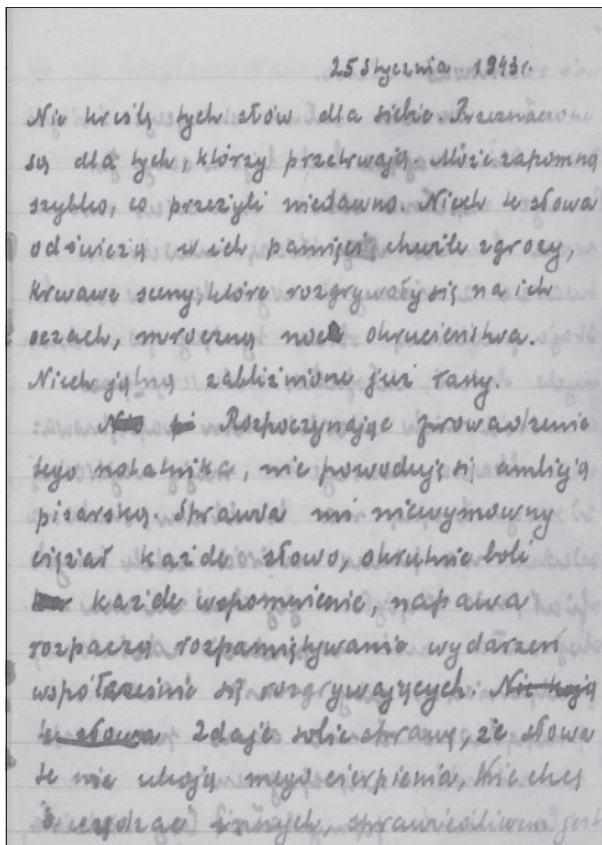
Golfard podkreślił, że Ukraińcy często byli inicjatorami nadmiernych okrucieństw i grabieży bardziej niż Niemcy. W swoim pamiętniku Golfard krytycznie odnosi się do wszystkich, którzy uczestniczyli w Holokauście, zwłaszcza do policji żydowskiej, prezentując przychylny portret Polaków, którzy mu pomagali. Golfard był intelektualistą z Radomia, polkim patriotą, który nie był szczególnie sympatyzujący z losem chłopów ukraińskiego, a po tym, co widział i przeżył w Przemyslanach, nie miał powodów do zmiany swojej postawy. W tym źródle i innych cytowanych powyżej interakcja między okupantem niemieckim i pogromcami ukraińskimi jest niejasna.

Kilka miesięcy po spaleniu tej synagogi niemiecki oddział bezpieczeństwa i oddział żandarmerii zorganizował 5 listopada 1941 r. rozstrzelanie 500 żydowskich mężczyzn na skraju miasta, w lesie Brzezina. Policja ukraińska pomagała w identyfikacji i aresztowaniu żydowskich mężczyzn. Pilnowała również obrzeży miejsca masowego mordu. Gettoizacja, praca przymusowa i fale masowych zabójstw następowały w 1942 r., aż latem 1943 r. zamordowano ostatnich Żydów z Przemyslan i okolicznych wsi. Niektórzy Żydzi, którym udało się ucieczka do lasów, zginęli w ukraińsko-polskiej wojnie domowej i sowiecko-niemieckiej wojnie partyzanckiej, która ogarnęła ten obszar wiosną 1944 r. [4]

Ukraińcy wspierając Ukraińską Powstańczą Armię (UPA) i pragnąc „etnicznie” oczyścić zachodnią Ukrainę, podejrzewali, że Żydzi w lesie sprzymierzili się z nieprzyjacielskimi Polakami czy Sowietami; Polacy w AK nie ufali Żydom za ich prosowiecizm, podczas gdy wielu sowieckich partyzantów postrzegało ocalałych Żydów jako potencjalnych zdrajców ojczyzny skazanych okupacją niemiecką.

Przemyślany były jedną z co najmniej pięćdziesięciu osmiu gmin żydowskich smaganych pogromem lata 1941 r. Historyk Dieter Pohl szacuje, że w winnych częściach Galicji Wschodniej ponad 12 000 Żydów zginęło w pogromach, a największy nastąpił w mieście Lwów, gdzie w okresie od 30 czerwca do 25 lipca 1941 r. brutalnie zamordowano ok. 3–4 tys. Żydów. Podobnie jak w pobliskim Stanisławowie (Iwano-Frankowsk), Złoczowie, Drohobyczu, Buczaczu i Tarnopolu. We Lwowie Żydzi byli obwiniani o masowe mordy Sowietów na jeńcach ukraińskich i innych, których okaleczone szczątki znaleziono w więzieniach NKWD.

Miasta miały niedawną historię pogromów, które działy się w związku z wycofującą się armią rosyjską (pod carem) w latach 1915 i 1916, co sugeruje, że historia wojen, okupacja i ich geopolityczne położenie jako



Pierwsza strona kroniki Samuela Golfarda.
US Holocaust Memorial Museum, domena publiczna.

wieloetnicznego pogranicza mogły przyczynić się do bardziej ekstremalnej przemocy w 1941 r.

Jednak taka przemoc nie była na tych pograniczach stała, ale raczej wywołana przez konkretny kryzys. W rzeczywistości większość pogromów po I wojnie światowej (1918-1921) miała miejsce poza tym regionem, którego miasto Lwów jest wybitnym wyjątkiem. Pogromy, które miały miejsce na zachodniej Ukrainie latem 1941 r., są wyraźniejsze niż w pierwszej wojnie światowej. Pojawilo się więcej dokumentacji i bezpośrednio przyczyny są możliwe do ustalenia. Podczas odwrotu Sowietów prowadzili politykę masowego mordów na ukraińskich więźniach politycznych. Nowi niemieccy okupanci i ich Ukraińcy sojusznicy w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów byli zdeterminowani, aby wyczyścić Ukrainę z Żydów, którzy zostali napiętnowani jako bolszewicy, i w tym celu organizowali antysemickie kampanie „odwetowe”. Fakt, że Żydzi, Rosjanie i Polacy byli również ofiarami zbrodni NKWD w Galicji i na Wołyniu został wygodnie pominięty. Zamiast tego całe zło związane z bolszewizmem było projektowane na Żydów jako gorszą rasę i zagrożenie dla innych. Zazwyczaj żydowscy mężczyźni byli zmuszani do ekshumacji zwłok więźniów zabitych przez Sowietów; w niektórych przypadkach musieli umyć zwłoki i wykopać groby, aby przygotować ich do pogrzebu religijnego. Podczas gdy Żydzi wykonywali te makabryczne zadania, miejscowej ludności pozwolono wyładować ich wściekłość na pogardzany system sowiecki, bicie Żydów pałkami, różgami i innymi tępymi narzędziami. (...)

(Wybór i tłumaczenie J.W.)

[1] Syn Belzera miał na imię Moişhe. Belzer Rebe (Aharon Rokeach) został ukryty przez polską rodzinę, a następnie przebrany i wywieziony z miasta przez węgierskich oficerów kontrwywiadu. (Przypis autorki)

W innym opracowaniu podano imię syna - Howerer. Nie jest znane nazwisko rodziny, która uratowała rabina przed niechybną śmiercią. Dop. J.W.

[2] Próba ratowania Żydów przez ks. O. Kowcza poprzez chrzest była zupełnie nieudana ponieważ nie zmieniała wyznania ich przodków. Będąc świadkiem coraz ściślejszej kolaboracji Ukraińców z okupantem, przed czym proboszcz przestrzegał, po aresztowaniu nie powrócił do swej parafii, choć miał taką możliwość. Widocznie nie chciał być pasterzem zdemoralizowanych do cna „baranków”. Dop. J.W.

[3] Lusja Raubvogel. *Mogłam nie wrócić*, str.11. Dop. J.W.

[4] Nie można nazwać wojną ukraińsko-polską eksterminację polskich rodzin przez UPA. Ponadto nie wszyscy Żydzi ukrywający się w lesie zginęli. Dop. J.W.

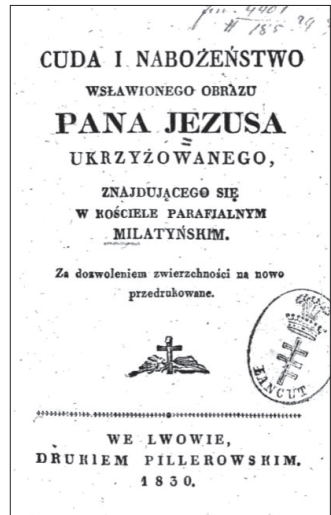
Red. W książce „Cuda i nabożeństwo...”, str. 19-20, znajduje się opis wyjątkowego uzdrowienia Barbary Lewandowskiej, dziecka z Rozworzan. Tytuł pochodzi od redakcji. Zachowano oryginalną pisownię.

Cud uzdrowienia

XX. Uczciwy Jan Lewandowski ze wsi Rozworzany pod Glinianami, mając córkę imieniem Barbarę przez cały rok chorującą, różnych dla uleczenia jej szukał sposobów, a dowiedziawszy się o pewnym człowieku leczącym prostymi lekarstwami chorych, wezwał go do siebie ze wsi Poluchowa, chcąc, aby córkę jego uzdrowił, której dawszy lekarstwo bardziej ją osłabił tak dalece, że zaraz nazajutrz w południe skonała. Umarła, w śmiertelną ubrana koszulę i według zwyczaju zmarłych położona, postawiona na ustronie, co widząc jej matka, narzekać poczęła na męża swego, że ją przez sprowadzenie lekarza zgubił.

Wspomniany Jan częścią swego z żalu w swej zmarłej córce, częścią z gniewu przeciw żonie, chciał się nożem przebić; czego uczynić, gdy mu przytomni niedopuszcili, nieco ochłodłszy z gniewu klęknął i wzniosłszy ręce do góry, córkę swoją zmarłą ofiarował panu JEZUSOWI Milatyńskiemu. W tem gdy północ nastąpiła, dziecię rękę iedną z piersi spuściło, co zobaczywszy syn pomienionego Jana, imieniem Kazimierz zawała na matkę swoją, mówiąc: Oto nasza Basia rączkę spuściła. Po małej chwili nogą ruszać poczęła, a potem przejrzała; i tak przez trzy dni niegadając leżała, po których spełnionych, lepiej się mieć i mówić poczęła.

W tydzień potem przewieziona od ojca do Milatyna na podziękowanie Zbawicielowi tamże cudownemu, za jego miłosierdzie, że ją od śmierci wyrwał i do pierwszego przywrócił zdrowia. Zeznany ten cud pod przysięgą podczas kommissyi roku 1755.



Pokłosie naszych publikacji

W „Spotkaniach Świrzan” nr 150, str. 8 zamieściłem zdjęcie z uroczystości ślubnej Izydora Kartena z Julią Grossberg. Tak zostało opisane przez autora (I. Kartena) w książce *Survival in the forest. The Świrz camp*, znajdujące się na wkładce po str. 32. Fotografia miała być wykonana w r. 1943. Podpisując ją w powyższym zeszycie, zlokalizowałem tę uroczystość w Zaděbinie, świrskim przysiółku, gdzie m.in. przechowywała się w oresie zimowym J. Grossberg. Zaděbina była zbiorem kilku chat, które najrzadziej „odwiedzali” Niemcy w poszukiwaniu ukrywających się Żydów.



Tymczasem taka fotografia znajduje się również w US Holocaust Memorial Museum z podpisem: *Zebranie grupy przyjaciół na uroczystości (prawdopodobnie wesele) w obozie dla przesiedleńców w Deggendorf (Bawaria, Niemcy). Wśród przedstawionych jest Mojżesz i Mania Leinwand (drugi rząd, szоста i siódma osoba z prawej)*. Obecnie wiadomo, że sfotografowano Julię Grossberg i Izydora Kartena, zapewne biorących ślub zgodny z żydowskim rytuałem. Towarzyszą im znajomi Żydzi uratowani z wojennej pożogi.

Jak podano w opisie zdjęcie zostało wykonane w latach 1947-1949. Jednak prawdopodobnie zostało wykonane wcześniej, może na początku 1946 roku, ponieważ w tym roku już urodziła się Kartenom córka.

Do muzeum fotografię przekazała Phyllis Leinwand. Właścicielka

fotografii, chyba córka Mojżesza Leinwalda, zapewne nie знаła Kartenów, będących centralnymi postaciami ujęcia. Nie wiedziała również, że jej rodzice otrzymali fotografię od Kartenów.

Elementem wykluczającym wykonanie zdjęcia w jakimś domu stojącym na terenie Świrza, czy w świrskim lesie, była wielkość szyb w oknach, widocznych w tle. Takich konstrukcji nie było w wiejskich chatach. Ale na to nie zwróciłem uwagi.

Tak więc informacja, że zdjęcie wykonane z uroczystości w świrskim lesie w 1943 roku nie jest prawdziwe. Ale okoliczności tak.

J. Wyspiański



Irena Komorowska. Pejzaż na południu Francji, (1950-1960). Płótno, olej.

Zdjęcie pobrano z katalogu pt. *Zamek w Świrzu*.

Wystawa prac autorki odbyła się we Lwowie w 2019 r.

Dziękujemy p. Piotrowi Pinińskiemu za przesłanie katalogu wystawy.

Listy do redakcji

Szanowny Panie,
 Oczywiście z wierszem M. Dubanowicz nie mam problemu - przesyłam go w załączniku. Odnośnie ks. Struszkiewicza sprawa „wisi” w IPN, mogą dzwonić do Pana z pytaniami o te relacje. Zwróciliśmy się do Głównej Komendy Policji - biuro edukacji historycznej - o dofinansowanie artykułu o policjantach z woj. tarnopolskiego. Odmówili, zaproponowali że wydadzą sami. (...) Z poważaniem

Igor Megger

<><><><><><><><><><><><><><><><><><>

Dzień dobry Józefie!
 Dzięki za gazetkę. Zaczęłam czytać. Choć zawarte są w niej obce wspomnienia, to przybliżają mi one życie moich przodków. Bieda w okresie międzywojennym, rodziny, których członkowie byli obu wyznań, trudności z jakimi wiązało się postanie dziecka do szkoły, potrawy na wigilijnym stole, nieustanne poczucie zagrożenia podczas wojny.....
 „Spotkania Świrzan” są jak pocztówka z pozdrowieniami od minionych pokoleń z dawnego Świrza. Serdecznie pozdrawiam

Krystyna

PS. Kiedy będzie ciąg dalszy tekstu z numeru 151 dot. okresu wojny polsko-bolszewickiej?

<><><><><><><><><><><><><><><><><>

Serdecznie dziękuję za kolejny numer "Spotkań". Z ciekawością zabieram się za lekturę. Moje poszukiwania śladów kresowych przodków ze strony Ojca, jak dotąd bez postępów. Z powodów rodzinnych i obostrzeń pandemicznych musiałem odwołać planowane kwerendy w Archiwum

we Lwowie i Krakowie. Ale nie poddaję się. Pozdrawiam,

Andrzej Kowal

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowny Panie,
 Miło nam, że publikacja pojawi się w lokalnym wydawnictwie. Jednak wcześniej autor publikacji prosi o kontakt telefoniczny.

Redakcja chojna24.pl

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowny Panie,
 Dziękuję za przesłaną relację, przesłałem do naszej p. prezesa która sprawę księdza prowadzi, choć nie wiem czy ta relacja więcej pomoże czy zaszkodzi - niech ona oceni. Czy zgłaszał się do Pana IPN ws. księdza Struszkiewicza? Pozdrawiam

Igor Megger

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Serdecznie witam Pana i składam Najserdeczniejsze Życzenia z Okazji naszego NARODOWEGO ŚWIĘTA 11 Listopada oraz zbliżających się powoli Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku 2022. W otrzymanym ostatnio zeszycie „Świrzan” wstrząsnął mnie artykuł o zamordowaniu nauczyciela, Pana Burego, a zwłaszcza sposób przerażającego, bandyckiego chwalenia się tą zbrodnią przez młodych Ukraińców - w tym kobietę. W kontekście tego świetny jest materiał, analizujący rzekomą bliskość naszej, polskiej kultury z ukraińską. A jako mieszkaniec powiatu bolesławieckiego, zainteresowany dziejami Rodaków przybyłych na ten teren (wszak sam pochodzę z rodziny kresowej) z wielką przyjemnością przeczytałem artykuł o Gierałtowiu i Świrzanach. Dziękuję i pozdrawiam serdecznie!

Zdzisław Abramowicz

INFORMACJE

Katarzyna Bezruczko, jej mąż Mikołaj i córka Jadwiga mieszkali w Wyźnianach powiat Przemyślany. Katarzyna prowadziła sklep. Pomogli oni, zapewniając żywność rodzinie Gesundów: Idzie i Arturowi z małym synkiem, którzy ukrywali się oni w pobliskiej wiosce i nie mieli środków do życia.

Po wojnie Gesundowie wyjechali do Izraela. Bezruczkowie przenieśli się do Olszanki (woj. opolskie). W latach siedemdziesiątych Gesundowie odnaleźli ich i nawiązali kontakt.

Instytut Yad Vashem nadał Mikołajowi, Katarzynie Bezruczko oraz Jadwidze Bezruczko-Pac, tytuły Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

+++++

Na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów z 9 stycznia 1926 roku, obowiązkowemu wykupowi ziemi w pow. Przemyślany podlegało 685 ha z majątków Przemyślany, Hanaczówka, Borszów, Brykoń, Ciemierzyńce, Ładańce, Rozworzany, Sołowa i Wołków należących do Potockiego Alfreda oraz 150 ha z majątków Zamoście, Gliniany, Gliniany Rustykalne i Przegnojów należących do Potulickiej Franciszki. (www.isap.sejm.gov.pl)

+++++

Ze sprawozdania Zarządu Lwowskiego Związku Okręgowego Towarzystwa Szkoły Ludo-

wej (TSL) za rok 1913, Koło TSL w Glinianach posiada dom ludowy w Glinianach i Zadwórzcu, a koło Przemyślanach - w Krosienku.

Zarząd Główny TSL utrzymywał szkoły w: Glinianach, Laszkach Królewskich, Przegnojowie, Połownicy, Słowity, Pełtwi i Zadwórzcu oraz Lipowcach, Nowosiółce, Pohorylcach, Poluchowie, Wiśniowczyku i Wołkowie. W Kurowicach nabyto grunt pod szkołę.

Koło TSL w Glinianach liczyło 126 członków, w Kurowicach - 44, w Przemyślanach - 190, w Świrzu 27. Liczba ksiązek: w Glinianach - 2168 tomów, w Kurowicach - 541, w Przemyślanach - 799, w Świrzu - 320.

+++++

W gminie katastralnej Gliniany do parcelacji przeznaczono 115 morgów w cenie 7000 Mk za jedną morgę, zaś w Przegnojowie 45 morgów w cenie 5000 Mk. (*Gazeta Ludowa* z 31.10.1920 r.)

+++++

Starostwo w Przemyślanach, dnia 23 czerwca 1925. Przytrzymanie osobnika głuchoniemego w Wyźnianach. Do Urzędu Wojewódzkiego w Tarnopolu. Upraszam o zarządzenie ogłoszenia w Wojewódzkim Dzienniku Urzędowym oraz przedruk w Dziennikach wszystkich Urzędów Wojewódzkich:

Dnia 13 czerwca 1925 przytrzymany został w gminie Wyż-

niany poczta Kurowice, powiatu Przemyślany wólczuga, izraelita, głuchoniemy, lat około 31 liczący nieznanego pochodzenia, którego identyczność na razie stwierdzić nie zdołano. Osobnik ten umie władać karabinem, salutuje i pisze po żydowsku niezrozumiale, kreśli litery ruskie i rosyjskie, wymawia słowo „Abram”. Wedle jego wskazówek na migi służył przy polskim wojsku i walczył z bolszewikami, wskazuje również, że bolszewicy chcieli go powiesić. Pozostaje on aż do sprawdzenia jego przynależności w gminie Wyżniani.

Opis osoby. Wzrost średni, budowa ciała szczupła, włosy ciemne, oczy piwne, nos orli, usta gruba, broda okrągła. Brak zębów w górnej przedniej szczęki, uszy silnie odstające. Szczególne znaki - rana postrzałowa w prawej stronie brzucha niżej pępownicy na wylot. Głuchoniemy ciągle salutuje i często zamyka oczy, ma napady i wtedy piszczy.

W razie dodatniego wyniku poszukiwań za gminą jego przynależności proszę zawiadomić o tym Starostwo w Przemyślanach. Starosta Maryanowski

+++++

Elżbieta Lewko ze Stanisławowa poszukuje swego męża Hilarego i swej bratowej Amalii Köhli z 2-giem dzieci z Podusilna. Jeżeli ktoś ze znajomych wie o miejscu pobytu ich, proszę łaskawie donieść pod adresem: Krystian Köhli c. k. drg. w Shezanie Dolnej, za co z góry proszę przyjąć staropolski Bóg zapłać. (*Ilustrowany Kuryer Codzienny* z 4.11.1914 r.)

+++++

Resort kultury poinformował, że od kilku lat pozostaje w stałej gotowości do przeprowadzenia remontu cmentarza na terenie Lasu Katyńskiego, gdzie w 1940 r. zamordowano tysiące polskich oficerów. Brak działań w tym zakresie jest spowodowany mnożeniem formalnych przeszkód przez stronę rosyjską, pod której zarządem pozostaje cmentarz w Katyniu.

+++++

Ukraińiec zdewastował pomnik J. Piłsudskiego i Czwórki Legionowej w Krakowie. Wyjaśniał, że dostał takie zlecenie, aby przed 11 listopada 2021 r., wraz z drugim Ukraińcem, pomalował pomniki w kolorze żółto-niebieskim. Nie wiadomo, kto zlecił zniszczenie. Czy działa w RP V kolumna?

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 156. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, IV 2022 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.